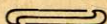


POJEDYNEK.

A. KUPRIN.



# POJEDYNEK

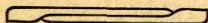
POWIEŚĆ

z rosyjskiego przełożył

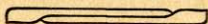
JÓZEF MACIEJOWSKI

z przedmową

Zdzisława Dębickiego.



TOM II.



WARSZAWA  
DRUK ED. NICZA i S-ki, NOWY-ŚWIAT 70  
1906

## XI.

W szkole roty zajmowano się teoretyką. W ciastnym pokoju siedziało kilkunastu żołnierzy, między którymi przechadzali się podoficerowie: Sierosztan i Szapowalenko! To jeden, to drugi pytał.

— Bondarenko—zawołał Sierosztan.

Bondarenko podskoczył jak oparzony.

— Gdy stoisz w szeregu z bronią w rękę, a do ciebie podchodzi władza i pyta: „co trzymasz w rękę“, jaką dasz odpowiedź?

— Strzelbę trzymam, — domyśla się Bondarenko.

— Głupiś. Nie tak—może rusznica, prosto po chłopsku, głupiś. Powinieneś zwyczajnie powiedzieć, jak się na służbie mówi: Karabin małego kalibru, szybkostrzelny, systemu Berdana, numer drugi z machinalną zapinką. Powtórz sukinsynie!

Bondarenko szybko powtórzył, co mu kazano.

— Siadaj—zakomenderował łaskawie Sierosztan.—A na co ci dają broń? Na to pytanie odpowie mi Szewczuk!

Szewczuk wstaje z wyrazem przygnębienia i odpowiada basem, wolno, rozwlekkle:

— Wona mi dana dlatego, szczyoby ja w czasie pokoju uczył się nią władać, a w czasie wojny bro-

nił nią tronu i ojczyzny od wrogów,—pociągnął nosem i dodał po namyśle, — jak wewnętrznych tak i zewnętrznych.

— Tak. Umiesz, ale mlamlisz a nie gadasz. Żołnierz powinien jasno, wesoło odpowiadać. Siadaj. Owiecznik, powiedz kogo nazywamy wrogami zewnętrznymi.

Z najwyższym zadowoleniem z powodu umiejętności wypowiedzenia się, Owiecznik mówi szybko:

— Zewnętrznymi wrogami nazywamy te państwa, z którymi musimy prowadzić wojnę: Francuzi, Niemcy, Włosi, Anglicy, Turcy, Europejczycy...

— Stój, tego niema w §§. Siadaj Owiecznik. Archipow mi powie kogo nazywamy wrogami *wewnętrznymi*?

Ostatnie słowo podkreśla, wymawiając z naciskiem i rzuca wzrokiem na Markusowa.

Niedźwiedziowaty Archipow milczy, patrząc w okno.

— Długo mam czekać — no! — krzyknął rozniewany podoficer.

— Wewnątrz... wewnątrz...

— Nie wiesz — groźnie zawołał Sierosztan i podszedł, chcąc uderzyć żołnierza, ale wstrzymał się pod spojrzeniem jeszcze groźniejszym Romaszowa.—No—syknął.—Wewnętrznymi wrogami nazywamy wszystkich, sprzeciwiających się prawom — na przykład kogo?...

Spotyka wzrok błagalny Owieczkina.

— No powiedz ty, Owieczkin.

Owieczkin zrywa się i mówi radośnie:

— Buntownicy, studenci, koniokrady, Żydzi i Polacy!

Obok nad swoim plutonem pracuje Szapowalenko.

Śpiewnym głosem pyta żołnierzy z książeczki, którą trzyma w ręku.

— Sołtys, co to jest szyldwach?

— Szyldwach to postać, której niewolno dotykać.

— Dlaczego na odwachu szyldwacha stawiają?

— Aby nie spał, nie drzemał, nie palił i nie od nikogo nie przyjmował.

— A salu...

— Salutował przejeżdżających oficerów.

Szapowalenko oddawna spostrzegł ironiczny uśmiech Fokina, ukończonego akademika, jednoroźniaka obecnie, ostro więc krzyczy:

— Jednorożny! któż tak się podnosi? Gdy „naczalstwo“ mówi trzeba wstawać szybko, a nie byle jak. Co to jest sztandar?

Fokin z szacunkiem stoi przed władzą. Młode, szare oczy tryskają ironią.

— Sztandar jest to poświęcona, wojskowa chorągiew, pod którą...

— Nie tak—gniewnie przerywa mu Szapowalenko, uderzając książką po rękę.

— Mówię dobrze — uporeczywie odpowiada Fokin.

— Co-co? Skoro władza mówi nie, to nie!

— Zobacz pan w §§.

— Skoro jestem podoficerem, to chyba ustawę znam lepiej od pana. Proszę! Każdy z ochotników mędrkuje zawsze. A może sam zechce postąpić do szkoły junkierskiej. Zkąd pan wiesz? Cóż to za chorągiew' *chorągiew*, trzeba jasno mówić!

— Poświęcona, wojskowa chorągiew.

— Szapowalenko nie kłóć się, rób swoje dalej—miesz się do sprzeczki Romaszow.

— Według rozkazu. Tylko, pozwoli wasza cześć powiedzieć sobie, że z każdym ochotnikiem zawsze przemówki!

— Dobrze, dobrze dalej!

— Chlebnikow, kto jest naszym komendantem w pułku?

Chlebnikow nie wie.

— Poczekaj, będę cię uczył później u siebie, to ci zęby porachuje—mówi, widząc, że Romaszow daleko stoi.

— Tak trwa nauka dzień w dzień. Jedno w koło, jedno monotonne... Co za męka. Ach rzucić, rzucić wszystko i pójść! — myśli Romaszow, rozpacznie chodząc od jednego do drugiego podoficera.

Po teorii, strzelanie.

Żołnierze stali na placu. Jedni strzelali, inni celowali, drudzy nabijali broń. W drugim plutonie komenderował dzwięcznym głosem podporucznik Łbow.

— Prosto...: kolumnami, rota—przeciągał i po pauzie rzucał:

— Pal!

Rozlegały się wystrzały. A Łbow wesołym głosem znów wołał:

— Jeszcze-e—raz!

Hiwa obchodził żołnierzy i robił grubijańskie uwagi.

— Jak stoisz, schowaj brzuch, stoisz jak brzemenna baba, sukinsynie.

Po strzelaniu zestawiono karabiny w kozły i żołnierze położyli się na wiosennej trawie, gdzieś niedługo wydeptanej butami.

Dzień był ciepły i jasny. Pachniała wiosna. Wietkin podszedł do Romaszowa i rzekł:

— Pluj na wszystko — rzekł do zgnębionego podporucznika. — Skończymy ze strzelaniną, zapije się smutek i basta—ha?

— Męczy mnie monotonia, Pawle Pawłowiczu, męczy życie.

— Cóż mówić, wesoło nie jest, ale trzeba ludzi uczyć, a nuż wojna?

— Co tam wojna? Po co ona? Nie jest że ogólnym błędem? Czy to uczeiwie, czy naturalne mordować ludzi?

— Ot i filozofia. A jak Niemcy napadną, to któż będzie Rosyi bronil, co?

— Nie wiem; nie wiem, nie nie wiem—odparł Romaszow głosem grobowym.—Biją się i inni ale...

— Słuchaj, właściwie nam myśleć nie wolno, a powiedz do czego myśmy zdadni? Tak myśleć jak ty, to lepiej nie służyć. No, a umiemy co? Ot — lewa, prawa, a zresztą ni be, ni me, ni kukuryku—co tu gadać! Pójdziemy zapić to i basta!

— Cóż robić, pójdziemy. Prawdę mówiąc to świństwo tak czas przepędzać, prawdą jest i to, że tak myślar, lepiej nie służyć.

Chodzili po placu i rozmawiali niedaleko od leżących żołnierzy, którzy jedli chleb, co robili zawsze: przed służbą, w czasie zajęć, po zajęciach—od rana do wieczora.

Przechodząc koło najbliższych Romaszow usłyszał następującą rozmowę.

— Chlebnikow—pytał drugi żołnierz.

— A?—odezwał się Chlebnikow.

— Coś ty w domu robił?

— To, co inni robia.

— Ale co, głupia głowa?

— Orałem, doglądałem bydła.

— Czego chcesz od niego — pyta inny stary żołnierz „wujek”, Szpynew.

Romaszow mimochodem spojrział na szarą twarz żołnierza. Seisnęło mu się serce.

— Do broni—zakomenderował Sliwa.—Panie oficerowie na miejsce.

Spełniono rozkaz.

— Równaj się! — skomenderował Sliwa.—Baczność!—krzyknął.

Poczem obchodził plutony, robił znów uwagi, patrzył czy wszystko w porządku.

Po nauce strzelania, zaczęto robić co innego: obroty, półobroty i t. p.

Romaszow, jak automat spełniał rozkazy, myśląc o jednym: słowa Wietkina „tak, jak ty myśląc, lepiej nie służyć”, dźwięczały mu nieustannie.

Cała wojskowość wogóle z nauką, fortyfikacyami, marszami, paradami wydała mu się czemś bezcelowem, nienaturalnem, ciężkiem, czemś bezsensownem poprostu. Żałował lat, które dotąd poświęcił temu, które poświęci jeszcze.

Gdy skończono ćwiczenia, poszedł Romaszow z Wietkinem do klubu i wypił mnóstwo wódek. Podporucznik w jakimś histerycznem podnieceniu, pijąc, lkał jednocześnie i skarżył się przed Wietkinem na życie, na to, że nikt go nie rozumie, nie lubi z wyjątkiem jednej kobiety, o której nikt, nikt się nie dowie.

Wietkin słuchał i pił jakby na śmierć. Był podrażniony.

— Jedno jest zło—mówił—ledwoś zaczął pić ot i rozmiękleś!

Uderzał czasami kulakiem w stół i nagle wykrzykiwał:

— Każą nam umierać, pomrzemy!

— Pomrzemy — odpowiadał Romaszow grobowym tonem. — Umrzeć, cóż, ale moja dusza cierpi, cierpi...

Jak zaszedł do domu, kto i jak ułożył go do łóżka—nie wiedział. Zdawało mu się, że błądzi wśród miljarde miljarde iskierek, palących, maleńkich, rozsypanych w gęstej sinej mgłę. W tej mgłę on błądzi, wznosi się i opada, a w tem falowaniu serce mu słabnie, zamiera.

Czuł, że mu cięży głowa, przybierająca jak mu się zdało, coraz to większe rozmiary... słyszał jakiś nieustanny drewniany głos, wykrzykujący:

— Rób raz!... rób dwa!...

## XII.

Dzień 23 kwietnia był dla Romaszowa dniem i niezwykłym i dziwnym. Koło godziny 10-ej rano, kiedy podporucznik znajdował się jeszcze w łóżku, przyszedł Szczepan, *deńszczyk* Nikołajewych i przyniósł list do Aleksandry Pietrowny.

„Kochany Romaszko — pisała — zupełnie bym się nie dziwiła gdybyś pan zapomniał o tem, że dzisiaj są wspólne nasze imieniny. Przypominam więc. *Nie zwracając na nic uwagi*, pragnę pana widzieć dzisiaj u nas. Tylko nie przychodź pan w południe a około 5-ej pp. Urządzimy sobie majówkę i pojedziemy do Dubeczny.

Twoja A. N.“

Kiedy Romaszow list czytał, drżała mu ręka. Caluteńki tydzień nie widział ukochanego jej oblicza, nie czuł jej miękkiego spojrzenia. „Dzisiaj!” — radośnie odezwał się w nim szept rozkoszy, zachwytem przeniknięty. — Dzisiaj! — wykrzyknął głośno Romaszow i zerwał się z łóżka. — Hajnan! wody do mycia!

Wszedł Hajnan.

— Wasza cześć, *deńszczyk* czeka na odpowiedź. Czy będzie?

— Tak, tak! — Romaszow wytrzeszczył oczy

i nieco przysiadł.—Trzeba mu coś... za fatygę. Nie mam.—Patrzył ze smutkiem na *deńszczyka*.

Hajnan uśmiechnął się.

— Niemam i ja. Ale co tam. Obejdzie się.

Romaszowi przypomniała się szybko ciemna wiosenna noc, błoto, lepki plot, do którego przycisnął się, nad słuchując co Szczepan mówi: „chodź tu, lazi codzień...” Przypomniał mu się jego własny wstyd. O, czego by on nie oddał w tej chwili za dwadzieścia kopiejek, za jedną dwudziestokopiejkową!

Podporucznik potarł nerwowo twarz rękami i wykrzyknął.

— Hajnan — kończył resztę słów szeptem — powiedz mu, że wieczorem dostanie na piwo.

Dała się teraz Romaszowowi na dobre we znaki potrzeba pieniędzy. Nie miał kredytu nigdzie. W klubie mógł tylko brać obiad i kolacye. Nie miał cukru, herbaty. Pijał rano wstrętą kawę, której resztki dokańczył Hajnan. I teraz, lękając z obrzydzeniem czarną, gęstą gorycz, głęboko zamyslił się nad swoim położeniem. „Hm... jak tu pójść bez podarunku? Cukierki czy rękawiczki? Ale jakież numer nosi—nie wiadomo. Cukry? najlepszym prezentem byłyby perfumy. Cukry są tutaj ohydne. A więc perfumy. Ona ogromnie lubi Ess-bouquet. A teraz wydatki na samym pikniku. Dorożka w dwie strony, dajmy na to—pięć, Szczepanowi jeden to szczęście!—Tak, panie podporuczniku bez dziesięciu rubelków ani rusz.

Zaczął medytować nad tem zkądby dostać pieniędzy. Pensya? Przedwczoraj podpisał kwit: „Rachunek sprawdzony. Podporucznik Romaszow“ Cała pensya szła na utrzymanie i na weksle. Podporucznik nie otrzymywał ani kopiejki. Może naprzód zażądać? Okazało się to nie do urzeczywistnienia. Próbował już trzy razy i zawsze napróżno. Wypłatami zajmował się sztabs-kapitan Doroszenko—człowiek pochmurny

i surowy, zwłaszcza dla młodzików. Podezas wojny tureckiej raniony w pięte, gdy się zwracał do swej kolumny, kulejąc, narażony był teraz na ciągłe kpinki. Stał się hipochondrykiem, wiecznie rozdrażnionym i złym. Nie, Doroszenko nie da, zwłaszcza jemu, podporucznikowi, który trzeci już miesiąc podpisuje na kwicie, rachunek „sprawdzony”. Nie będziemy rozpaczać — mówił sam do siebie Romaszow.—Przeliczmy wszystkich oficerów. Zaczniemy od komendantów rot. Rota pierwsza: Osadezy.“

Przed oczyma Romaszowa stanęła piękna postać Osadczego z ciężkiem zwierzęcem wejrzeniem. Nie — ten nie. Drugi zatem. Talman. Kochany Talman: szuka wszędzie i gdzie się da pożyczca, nawet od praporów. Anityński?

Romaszow zamyslił się. Przyszła mu szalona myśl do głowy: pójść poprosić o pożyczkę pułkowego komendanta. „Wyobrażam sobie! Z pewnością zrazu zdumieje, zadrzy w wściekłości, wreszcie krzyknie: Jaaa! Mi-i-il-czeć!

Podporucznik roześmiał się. Ach wszystko jedno, jakoś tam będzie! Dzień, który się zaczął tak radośnie nie może zakończyć się źle. Na razie zdaje się to niepodobieństwem, aby mogło być inaczej, jednak przecucie mówi, że tak będzie.

— Kapitan Duvernois? Żołnierze śmiesznie go nazywają: *Dowerninoga*. Mówią ot, że był jakiś generał Budberg von Schaufus, —żołnierze określili go: Budka za cekhauzem. Nie, Duvernois jest skąpy i nie lubi mnie—wiem o tem...

Wyliczał pokolei wszystkich komendantów rot, od pierwszej do szesnastej. Już, już zaczął się niepokoić, że znikąd pieniędzy nie będzie mógł pożyczyć, gdy naraz błysnęło nazwisko: Rafalski—podpułkownik Rafalski.—Łamałem sobie głowę. Ot Rafalski! Hajnan! Surdut, rękawiczki!

Podpułkownik Rafalski był skończonym dziwakiem. Nazywano go powszechnie w pułku Bremem.

Rafalski u nikogo nie bywał. W święta składał *naczelstwu* konieczne wizyty i na tem kończył wszelką styczność z oficerami. Jako służbista urągał wprost wszelkim prawom, wszelkim żądaniom, wszelkiej dyseyplinie. Odbierał też ciągłe nagany, ostre uwagi w „*prikazach*”—mało co sobie z tego wszystkiego robił, rozkochany w swoich ptakach i zwierzętach,—które hodował, posiadając oryginalny zwierzyniec. Panie pułkowe nie cierpiały Rafalskiego już z tego samego względu, że zupełnie był dla nich obojętnym. „Cóż to za dziwaczysko—mawiały, a ten zwierzyniec! Jak to można znosić, sam już zapach... fe!

Ale podpułkownik kpiał sobie z wszelkich uwag i sądów, tracąc każdy grosz na rozszerzanie swego zwierzyńca, tracąc do kopiejki wszystko tak, że jedzenie brał z 15 roty i płacił dość sporo za nie, a w ubraniu chodził Bóg wie odkąd w jednym i tem samym. Zato towarzyszom swoim nigdy nie odmawiał. Gdy miał pieniądze pożyczał. A pożyczki te były dość wygodne, bo zwracać pieniądze pułkownikowi, nie było przyjętem, nikt tego nie robił. Kiedy który z podchorążych, Łbow naprzykład, szedł pożyczać mówił — idę zwierzyniec obejrzeć. Zamiar taki był jednocześnie furką do serca staro dziwaka.

Romaszow bywał u niego także czasami. Pieniądzy nie pożyczał nigdy. Chodził, bo lubił istotnie zwierzęta. Kiedy był kadetem, a potem junkiem, z większą przyjemnością uczęszczał do cyrku niż do teatru, a jeszcze z większą do ogrodu zoologicznego i różnych zwierzyńców, jakich sporo jest w Moskwie. Dzieckiem będąc, marzył o psie St. Bernarda, a obecnie pragnie tylko zostać adjutantem bataljonowym i mieć konia. Jedno i drugie marzenie nie spełniło się, *primo* z powodu biedy, *secundo* nie miał powierzchowności na adjutanta.

Kiedy Romaszow wyszedł z mieszkania poczuł

świeże, ciepłe, wiosenne powietrze. Ziemia przesiąknięta tylko co spadłym deszczem, ugięła się pod stopami. Z po za płotów nisko zwieszały się gęste gałęzie czerechy i bzu. Coś nagle wzdęło piersi podporucznikowi, coś go popychało ku jakimś lotom. Obejrawszy się wkoło i przekonawszy, że niema nikogo, wyjął z kieszeni list Aleksandryi, przeczytał go raz jeszcze, a potem ucałował podpis.

— Cudownie, cudownie wkoło—wyszeptał z zachwytem.

Pułkownik Brem mieszkał wewnątrz podwórza okolonego wysoką zieloną siatką. Przy wejściu było napisane: „Proszę dzwonić. Psy!!!” Romaszow zadzwonił. Z przedsionka wyszedł leniwy, zaspany deńszczyk.

— Zastałem pułkownika?

— Proszę, wasza cześć.

— Idź, zamelduj.

— Nietrzeba. Tego się nie robi. Jego wyśoka cześć tego nie lubi naprzykład.

Romaszow wszedł. Z zawęgła domku wyskoczyły do niego dwa wielkie myszate dogi. Jeden z nich głośno, lecz łagodnie zaszczeakał, Romaszow klasnął palcami. Pies radośnie zaczął go witać. Drugi dog szedł za podporucznikiem z ciekawością, obwąchując gościa. Na środku podwórza stał mały osioł. Drzemał na słońcu. Koło niego laziły kury, różnokolorowe koguty, kaczki i chińskie gęsi; pokrzykiwały *cesarki*, a wspaniały indor z pychą krążył wśród cienkoszyich swoich towarzyszek. Przy korycie leżała wielka różowa „iorkisz” świnią.

Pułkownik Brem, odziany w skórzaną szwedzką kurtkę stał przy oknie, odwrócony do drzwi. Nie spostrzegł jak wszedł Romaszow. Robił coś około akwaryum, wsadziwszy weń rękę po łokieć. Romaszow aż dwa razy musiał odkalsznąć, zanim Brem odwrócił ku niemu swą chudą brodatą twarz.

— A-a podporucznik Romaszow! Prosimy, pro-



simy,—wital gościa bardzo łaskawie.—Wybacz pan. Nie podaję ręki, bo mam mokrą. Wprowadzam ulepszenia, rad z nich jestem! Może herbaty!

— Pokornie dziękuję. Piłem. Przyszedłem, panie pułkowniku...

— Słyszałeś pan, podobno mają pułk przenieść do innego miasta,—mówił Rafalski, jakby ciągnąc tylko co przerwana rozmowę.—Rozumiesz pan, to dla mnie rozpacz. Bo jakże ja ryby przewiozę? Połowa zdechnie. A akwaryum? Szyby, spójrz pan półtora sążnia długości. Ach, jakie ja widziałem akwaryum w Sewastopolu! Baseny jak ten pokój, woda morska! Elektryka! Patrzysz z wierzchu jak sobie rybki żyją. Cóż za różnorodność ich, ktoby tam zliczył! Albo kot morski: wyobraź pan sobie ot, blin,—szerokości z półtora arszyna, z tyłu ogon—rusza się dziwnie. Dwie godziny stałem nad nim. Ale, z czego się śmiejesz podporuczniku?

— Wybacz pan... Dostrzegłem właśnie na pańskim ramieniu białą mysz.

— Ach ty szelmuko, gdzieś to wlaźła?—Rafalski zwrócił głowę i zapiszczał jak mysz. Małe białe czerwonoookie zwierzątko podsunęło się do samej twarzy pułkownika i, wzdrygając całym ciałem, mordką dotykać jeło brody i ust swego pana.

— Jak one znają pana!—zawołał Romaszow.

— A... tak.—Rafalski westchnął i pokiwał głową.—Ale cóż, my ich nie znamy. Ludzie wytresowali psa, konia, oswoili kota, a co to są właściwie za zwierzęta nie mamy o tem pojęcia. Najdziesz pan niejednego uczonego, który całe życie poświęci na wyjaśnienie jakiegoś przedpotopowego wyrazu, uzyska za to sławę, że omal nie świętym go zrobią. A co z tego słowa—korzyści niewielkie. Natomiast,—weźmy choć psy. Żyją przy nas, rozumne, myślące stworzenia—bodajby jeden prywatocent zajął się ich psychologią, hm?

— Zapewne robi się coś na tem polu, tylko

my o tem nie wiele wiemy—rzekł Romaszow.

— No tak. Są nawet kapitalne prace. O, spójrz, pan, posiadam całą bibliotekę.—Podpułkownik wskazał ręką na szereg szaf koło ścian.—Piszą rozumnie, przenikliwie. Wiedza olbrzymia! Przybory, sposoby znakomite, ale to nie to, o czym ja mówię! Czy którykolwiek naprzykład z tych uczonych wpadł na myśl obserwowania, jak spędza kot albo pies cały dzień? A proszę, zobacz: jak ten pies myśli, na jakie zdobywa się fortele, jak cierpi, raduje się. Widziałem co zyskują kłowny przez naukę zwierząt, do jakich bajecznych wprost dochodzą rezultatów. No ale kłown, kłownem. Gdy tymczasem, gdyby tak do tego wziął się jaki uczonej ze swoją wiedzą, ze znajomością przedmiotu! Ręczę, dowiedzielibyśmy nadzwyczajnych rzeczy. Jestem przekonany naprzykład, że psy mają swój język ciekawy i bogaty.

— Czemuż się dotąd tem nie zajęli?—spytał Romaszow,—wszak to takie proste, takie jasne!

Rafalski roześmiał się z ironią.

— Właśnie dlatego... he-he-he, że to jest proste! Dla uczonego czymże jest przedewszystkiem pies? Sące z rodziny psich i t. d. Wszystko to prawda. Ale podejź do psa, jak do człowieka, jak do dziecka, jak do stworzenia myślącego. Cała ich uczoność w bardzo pierwotnem stadium. Nie są dalecy od mniemania, że pies duszy nie posiada, lecz ot coś w rodzaju tehu.

Zamilkł i, gniewliwie sapiąc, fyrkając, jął dopasowywać rurkę gutaperkową do dna akwaryum. Romaszow wziął na odwagę.

— Janie Antonowiczu, mam do pana wielką, bardzo wielką prośbę.

— Pieniędzy?..

— Doprawdy, przykro mi... ale wiele nie potrzebuję, z dziesięć rubli. Nie obiecuję, że prędko oddam, lecz...

Podpułkownik wyjął ręce z wody i zaczął się wycierać ręcznikiem.

— Dziesięć mogą, więcej nie — ale dziesięć z najwyższą przyjemnością. Potrzeba panu pewno na jakie głupstewko? No, no, nie gniewaj się pan. Zartuj sobie. Pójdźmy, pójdźmy.

Poprowadził Romaszowa przez całe mieszkanie, składające się z sześciu pokojów. Ani jeden nie był umeblowany, powietrze wydawało woń ostrą, cuchnącą małe drapieżne zwierzątka. Podłogi tak były zabrudzone, że nogi ślizgały się po nich.

We wszystkich kątach były urządzone norki, i legowiska w kształcie butelek, wydrążonych pieńków, beczek bez den. W dwóch pokojach stały drzewa z szerokimi koronami — jedno dla ptaków, drugie dla kun i wiewiórek. Na drzewach wisiały gniazda, znajdowały się one i w dziuplach. Usłanie ich dawało odrazu poznać wielką miłości wielkie staranie tego, kto te gniazda robił.

— Widzisz pan to zwierzę? — Rafalski wskazał palcem na niewielką przestrzeń pokoju, odgradzoną drutem kolczastym. Był tam pomieszczony tehrz.

— Wiedz pan, wobec niego wszystkie lwy i pantery, to cieleta. Lew zje swój pud mięsa i wypoczywa, patrząc dobroduszenie jak resztę szakale dojadają. A ten najmilszy galgan, niech się dostanie tylko do kurnika — ani jednej kurze niedaruje. Wyje mózgi i basta. Oblaskawić go, bardzo, bardzo trudno. Ach, ty złodzieju!

Pułkownik wsunął rękę za ogrodzenie. Z małej norki urządzonej norki wyskoczył tehrz pokazując białe zęby. Wyskakiwał i chował się, dysząc wściekłością i pokwikuje tak, jakby kto ciężko kaszlał.

— Patrz pan, co za lajdak! A całutki rok go karmię!

Zdawało się, że pułkownik zupełnie zapomniał o próbie Romaszowa. Prowadził go od nory do no-

ry, pokazywał swoich ulubieńców, mówiąc o nich z taką serdecznością, z taką znajomością obyczajów i usposobień tych zwierząt, jakby mówił o swoich najlepszych znajomych. Zwierzyniec miał dość spory: białe myszy, króliki, świnki morskie, jeże, parę żmii jadowitych w szklanych pudełkach, kilka gatunków jaszczurek, dwie małpy, czarnego zająca australijskiego, miał wreszcie kota angorskiego.

— Cóż, piękny? — spytał Rafalski, wskazując na kota. — Nieprawdaż, pyszny. Ale głupi, o głupi. Oh, nowy to dowód — mówił z ożywieniem — jak mało znamy psychikę naszych zwierząt domowych. Co wiemy o kocie? A konie? A krowy? A świnię? Wiesz pan kto jest ciekawy dla swej pojętności — świnię. Tak, tak, nie śmieć się pan. Romaszów ani myślał się śmiać — świnię okropnie są mądre. W zeszłym roku wieprz ot jaką mi sztuczkę splatał. Wywar mi przywożono, uważasz pan, z cukrowni, dla świń i do ogrodu. Nie chciał bestya wieprz czekać cierpliwie aż do stanie, no i kiedy woźnica odszedł szukał deńszczyka, szelma wyciągnął zębami klin z beczki. Wywar polał się, a ten, naturalnie, używał do syta! Ale, ale — raz nietylko, że klin wyjął, lecz zakopał go. Ot, macie mądrość. Co prawda, to ja — tego. — Rafalski przymrużył jedno oko i chytrze się uśmiechnął — przyznam się panu, piszę nieco o świniach... niewielka praca... tylko sz...sza!... To sekret. Jakoś nie bardzo to idzie — aby tego, podpułkownik wojsk rosyjskich o świniach hm... Mam teraz *Yorkisze*. Widziałeś pan? Jeśli chcesz zobaczyć...

— Wybacz mi pan, Janie Antonowiczu — jakal się podporucznik. — Z całą radością bym służył, ale przysięgam na Boga, nie mam chwili już czasu.

Ach, — wybacz gadule — zawołał Rafalski. — No, no, chodź — że pan, chodź za mną.

Weszli do małego pustego pokoiku, w którym prócz łóżka polowego, szafki i nocnego stolika

nie nie było. Rafalski otworzył szufladkę i wydobyl pieniądze.

— Bardzo, bardzo mi przyjemnie służyć panu. Eh, ot... cóż tam podziękowania — niema za co... a przyjdź pan, gdy będziesz miał chwilkę wolną.

Wyszedłszy na ulicę, Romaszów spotkał zaraz Wietkina. Czapkę miał na bakier, wygląd nieco łobuzowski.

— A-a! Książę Hamlet! — zawołał z radością Wietkin. — Gdzie i dokąd. Fiu, jaśniejiesz jak solenizant!

— Aboż nie jestem nim dzisiaj? — uśmiechnął się Romaszów.

— Tak? Bosko, niechże cię uściskam!

I uściskali się serdecznie.

— A możebyśmy z tego powodu zaszli do klubu? Machniemy po jednym, jak mówi nasz świętny Arezakowski!

— Nie mogę, pilno mi! Zresztą zdaje się wypileś już bracie?

— Hoho! — Wietkin znacząco mrugnął oczyma. — Taką dziś przeprowadziłem kombinację, że najlepszego ministra finansów żołądekby zabolął z zazdrości.

— No, no!

Kombinacya Wietkina była bardzo prosta, choć nie pozbawiona bystrości.

Ważną w kombinacyi tej odgrywał rolę krawiec pułkowy, Chaimek. Wietkin wystawił mu kwit za odbiór ubrania mundurowego. Zamiast ubrania jednak dostał od Żyda 30 rubli za ten kwit.

— Koniec końcem obaj zostaliśmy zadowoleni — rzekł uradowany Wietkin. — Ja dostałem trzydzieści rubli, a Żyd na ten kwit z kasy pułkowej krawieckiej otrzyma czterdzieści pięć. Dopieroż będę grzał dzisiaj graczy w klubie, hehe! Jakże zrzęcznie się urządziłem hm?

— Prawda. Przyjmuję to do wiadomości, może się przyda. A teraz pożegnaj cię, Pawle Pawłowicza, życzę dobrej karty i szczęśliwej gry.

Rozeszli się. Wietkin jeszcze zapytał:

— Oglądałeś zwierzyniec?

Romaszów przytaknął głową i rzekł z przekonaniem:

— Brem człowiek znakomity! Miły, serdeczny, dobry!

— Cóż tu mówić — zgodził się Wietkin. — Tylko — tu, tu... — stuknął się palcem w głowę.

Lecz w tej chwili przeczuł, że drzwi się otworzyły.

— Romaszko, a to gdzie? — zadzwieczał za nim wesoly głosik Aleksandry Piotrówny.

Zatrzymał pojazd i wyskoczył.

Aleksandra stała w ciemnej ramie drzwi. Biała ubrana, miała za pasem pęk czerwonych kwiatów i takież we włosach. Rzecz dziwna: Romaszow znalazł ją, a przecież w tej chwili wydała mu się zupełnie inną, jakąś odświeżoną, ogromnie jaśniejącą.

Kiedy Romaszow mrucał swe powinszowania, ona, nie wyjmując z jego ręki swojej, wciągnęła go lekko do ciemnego przedpokoju.

— Dziękuję, żeś przyjechał, Romaszko — mówiła szybko, półgłosem. — Obawiałam się, że pan odmówisz. Słuchaj pan: bądź dzisiaj wesoly, bardzo miłym! Nie zwracaj na nic uwagi. Jesteś pan śmieszny: ledwo pana dotknę, już się chmurzysz — mi-moza...

— Aleksandro Piotrówno, list pani zasmucił mnie. Zwłaszcza jedno zdanie...

— Mój drogi, mój drogi, to nie, to nie! Ujęła go za obie dłonie i ścisnęła serdecznie, patrząc prosto w oczy. W jej wzroku odbiło się coś nieznanego Romaszowowi, jakaś pieszczołliwość, tęsknota, niepokój, a dalej w zagadkowej głębinie surowych płamek tało się coś niepojętego, mówiącego językiem niezrozumiałym, językiem duszy.

— Nie trzeba przywiązywać wagi do niczego. Czyż panu nie dość, że cały czas pilnowałam pańskiego przejazdu; wiedziałam, że będziesz miał ochotę przyjechać — ty lękliwe! Nie patrz pan tak na mnie! — roześmiała się zmieszana jego pałającym spojrzeniem. — Ale dość... Nie zręcznyś pan... nie całujesz moich rąk! Ot, tak, no, a teraz drugą. Pojętny jesteś... Chodźmy. Pamiętaj pan — zaszeptala gorączkowo, lękliwie — dzień dzisiejszy, to nasz

### XIII.

Podjeżdżając do domu Nikołajewych koło godziny 5-ej, Romaszew z pewnem zdziwieniem wy-czuł, że radość, nadzieje, iż dzień zakończy się przyjemnie opuściły go. Czuł, że coś się z nim zro-biło, że nastąpiło to nie odrazu, ale stopniowo. Cóż to być mogło? Stany duszy takie bywały niejedno-krotne. Podporucznik wiedział, że uspokoić go mo-że tylko odnalezienie ich pobudki, ich przyczyny. Raz, przypomniał sobie, szedł kiedyś przez szynę, gdy nagle usłyszał przeciągły świst parowozu. Złakł się, a potem cały dzień był w złem usposobieniu.

Zaczął teraz przebiegać myślą wszystkie wra-żenia ubiegłego dnia. Magazyn Swiderskiego; perfu-my; wynajął Lejbę, który świetnie jeździ; uregulo-wał zegarek na poczeie; ranek...; Szczepan... Czyżby ten ostatni — nie, dla Szczepana ma rubla w kie-szeni. Gdzież przyczyna? Koło płotu stały ekwipa-że. Dwóch deńszczyków trzymało osiodlane konie; burego starego mierzyna — własność Olizara i mło-dą gorączkującą się piękną klacz Beka-Agamałowa.

— Ach — list! — przypomniał sobie nagle Roma-szow. To szczególne zdanie: *nie zważając na nic*. Coś musi być... Może Nikołajew gniewa się na mnie, może jakie plotki? Nikołajew ostatnimi czasy dość był suchy. Nie, nie, pojedę dalej, nie zatrzymam się!<sup>17</sup>

— Jedź dalej — zawołał na furmana.

dzień. Królowa Aleksandra i jej paź Jerzy... Słyszysz? Idziemy.

— Proszę przyjąć, skromny podarunek...

— Ach perfumy? Jak mogłeś pan na taką rzecz wydatków... Nie nie, żartuję. Serdeczne dzięki. Włodeczku! — zawołała głośno, wchodząc do saliki. — Jeszcze jeden kompan, w dodatku także solenizant.

W salce było gwarno, chaotycznie jak to zwykle bywa przed ogólnym wyjazdem. Gęsty dym z papierosów przybierał kolor sinawy w blasku słońca wiosennego.

W pośrodku pokoju stało siedmiu czy ośmiu oficerów, wesoło rozmawiających z sobą. Najgłośniejsi, kaszląc co chwila, rozmawiał Talman. Byli również: kapitan Osadezy i nierozłączni adjutanci Olizar z Bek-Agamałowem; porucznik Andrusiewicz czupurny chłopiec o mysiej twarzy, był jeszcze ktoś tam prócz tych i Zofia Pawłowna Talman, uśmiechnięta, upudrowana, wyróżowana, podobna do lalki siedziała na kanapie z siostrami podporucznika Michina. Obie panienki były w jednakich prostych ubraniach białych z zielonemi wstążkami; obie różowiotkie, czarnowłose i ciemnookie, obie miały oślepiająco białe choć nierówne zębki, co jednak dodawało im uroku. Ładne były, podobne do siebie i do swego brzydkiego brata. Z dam znajdowała się jeszcze żona porucznika Andrusiewicza mała, białolica klusieczka, nieco głupawa, lubująca się w dwuznacznikach, skandalicznych anegdotach; były i panny Łykaczówny.

Jak zwykle w towarzystwie wojskowym panie trzymały się razem nieco na uboczu. Koło nich w dość swobodnej pozie, frantowsko rozwalony na krześle siedział kapitan Ditz. Podobny z wymiętej fizjonomii i figury do pruskiego oficera, rysowanego w karykaturach, Ditz był degradowany z gwardyi na oficera piechoty za jakiś gruby skandal!

Elegancki i niby wytworny znany był jako gracz na grube stawki; w klubie oficerskim nie grywał jednak, lecz w resursie, w domach urzędników i u bogatych właścicieli ziemskich Polaków, mieszkających w okolicy miasta. Nie lubiano go w pułku, ale go się jednocześnie obawiano, wyczekując jakiejś awantury lub brudnego skandalu. Mówiono o nim, że prowadzi romans z żoną komendanta brygady, kobietą brzydką choć młoda, mówiono również i o stosunku z panią Talman: z jej powodu, dla niej i jego zapraszano, wymagały tego zresztą pewne prawa pułkowej towarzyskości.

— Bardzo, bardzo mi miło — rzekł Nikołajew, witając Romaszowa. — Tem lepiej. Dlaczegoś pan rano na pierog nie był łaskaw?

Chociaż te słowa były wypowiedziane szczerze, dobroduszenie, dostrzegł w nich jednak Romaszow, jak również i w oczach Nikołajewa pewną oziębłość, którą wyczuwał, ilekroć spotkali się ze sobą w ostatnich czasach.

— Nie lubi mnie, — pomyślał Romaszow. — Cóż on gniewa się, czy mu się naprzykrzyłem?

— Mamy w rocie zajęcie, naukę składowych części karabinu — skłamał Romaszow. — Przygotowujemy się do przeglądu, więc nie ma chwili nawet w święta. Nie myślałem, że urządzenie państwo piknik, przyjechałem, co może wyglądać na wprosinę — doprawdy...

Nikołajew uśmiechnął się i z obraźliwą przyjacielskością poklepał po ramieniu podporucznika.

— O, cóż pan mówisz, im więcej osób, tem będzie weselej!... Tylko czy się aby pomieścimy. No, jakoś to tam będzie.

— Mam swój ekwipaż — rzekł Romaszow, uchyłając ramię z pod ręki Nikołajewa. — Z przyjemnością mogę nim służyć.

Obejrzał się i spotkał z oczyma Aleksandry. „Dziękuję ci“ powiedział mu jej ciepły, nie-

zwykle pociągający wzrok. „Jaka ona dzisiaj dziwna“—pomyślał Romaszow.

— Wszystko dobrze. Nikolajew spojrzał na zegarek—Cóż państwo—spytał—możebyśmy wyruszyli?

— Jak jechać to jechać—rzekła papuga, kiedy ją kat Waśka wyciągał za ogon z klatki—za-doweipkował Olizar.

Wszyscy wstali ze śmiechem i wykrzyknikami; panie poczęły szukać swoich płaszców i zarzutek, a Talman co chwila przypominał o ciepłych szalach, sam bowiem był dotknięty bronhitem.

Mały Michin odprowadził Romaszowa na bok, korzystając z ogólnego zamieszania.

— Jerzy Aleksiejewiczu, mam do pana prośbę. Bardzo, bardzo będę obowiązany, jeśli pan zechcesz jechać z moimi siostrami, inaczej pojedzie z nimi Ditz, a on takie zawsze świństwa mówi dziewczętom, że gotowe będą rozplakać się w drodze. Jestem przeciwny wszelkiemu gwałtowi, ale dalibóg dam mu kiedykolwiek po mordzie!

Romaszow bardzo pragnął jechać razem z Aleksandrą, ale w tej chwili tak się czuł szczęśliwym, że nie mógł odmówić i zgodził się.

Przed gankiem długo dość zajmowano miejsca w pojazdach. Romaszow wsiadł z pannami Michininównami. Pomiędzy ekwipażami biegał Leszczenko, którego przedtem Romaszow nie dostrzegł, a którego nikt nie chciał zabrać do swego faetonu. Romaszow poprosił go na swoją bryczkę, za co odebrał podziękowanie wzrokiem wilgotnym, łagodnym i serdecznym.

Nareszcie wszyscy zajęli miejsca. Na przodzie kawalkady Olizar, kręcąc się na swym mierzy-nie, zaśpiewał z operetki:

Siadziem do pocztowej karety szybko,

Siadziem do pocztowej karety szybko, szybko...

— Klusem ma-arsz! — zakomenderował głośno Osadezy. Pojazdy ruszyły.

#### XIV.

Piknik był nie tyle wesoly, ile krzykliwy i chaotyczny.

Przyjechano do Dubeczny, miejscowości leżącej o trzy wiorsty za miastem. Był to niewielki laszek, położony na wzgórzu, u podnóża którego płynęła nie wielka rzeczka. Las rzadki, złożony z drzew stuletnich i krzewów rozłożystych, miał dużo w sobie uroku. Na jednej z polan umieściło się całe towarzystwo. Deńszczycy, posłani naprzód, przygotowali samowary, przynieśli zakąski rozmaite. Panie zajęły się rozdawaniem jedzenia, panowie pomagali, a wszystko to odbywało się wśród śmiechu i wesołości ogólnej. Olizar, przystrojony w serwetki, udawał kucharza z klubu oficerskiego, Łukacza. Uwijał się między gośćmi, którzy dość długo wyszukiwali najwygodniejszych miejsc dla wypoczynku. Trzeba było albo siedzieć albo leżeć; nowość ta bawiła, a Leszczenko z tego powodu zrobił uwagę:

— Leżymy jak starożytni Rzymianie-Grecy.

Aleksandra posadziła obok siebie z jednej strony Talmana z drugiej Romaszowa. Była dziś w niezwykłym ożywieniu i tak podniecona, że niektórzy zwracali na to uwagę. Romaszow nigdy nie

widział jej tak czarującej, tak pięknej. Przeczuwał że tai się w niej jakieś uczucie nowe, gorączki pełne i chce wybuchnąć nazewnątrz. Zwracała się czasami do Romaszowa i w milczeniu patrzyła na niego. To milczenie może trwało dłużej niż pół sekundy, więcej trochę niż zwykle, a on czuł w tem niepojętą, gorącą, pociągającą siłę.

Osadezy, siedząc sam jeden w koło nakrycia, ukląkł na ziemi, zadzwonił nożem w szklankę i cichym, piersiowym głosem powiedział:

— Nu...s, panowie... Wypijemy tę pierwszą czarę za zdrowie naszej pięknej gospodyni i drogiej solenizantki. Niechaj Bóg da jej wiele szczęścia oraz tytuł generalowej!

Tu, podniósłszy wysoko kielich, ryknął z całych sił.

— Hurra!

Zdało się, że krzyk jego wypełnił cały lasek bo krótkie echo powtórzyło go wśród drzew.

Andrusiewicz, siedzący obok Osadczego, komiecznie upadł na wznak, reszta powtórzyła wiwat. Panowie podeszli trącać się z Aleksandrą. Romaszow umyślnie zrobił to ostatni, co ona spostrzegła. Zwróciwszy się do niego, w milczeniu wyciągnęła ku niemu rękę ze szklanką wina. W tymże momencie oczy się jej rozszerzyły, pociemniały, a wargi drgnęły wymawiając niedosłyszalnie jakieś słowo! Ale w tej chwili odwróciła się i ze śmiechem poczęła rozmowę z Talmanem. „Co ona powiedziała, ach, co ona mogła powiedzieć?“ Denerwowało i niepokoiło to Romaszowa. Niepostrzeżenie zakrył twarz rękoma i chciał powtórzyć ruch warg Olenki, by dojść tym sposobem, co chciała powiedzieć. Nie mógł jednak. Wiedział tylko, że było to słowo trzysylabowe.

Pito później za zdrowie Nikolajewa, za jego powodzenie w przyszłej służbie przy sztabie generalnym, wznoszono te toasty z takim przekona-

niem, jakby wszyscy głęboko wierzyli, że wstąpienie do akademii to pewnik. Pito dość obojętnie za zdrowie Romaszowa, jako solenizanta, za zdrowie gości, pań i panów, za sławę sztandarów swego pułku, za niezwykcioną armię rosyjską..

— Panowie, wypijemy toast na cześć naszego cesarza, za którego każdy z nas gotów jest przelać krew do ostatniej kropli.

Wyrzekłszy te słowa Talman powstał, powstali i inni oficerowie oraz damy.

— Hymn hymn! — z zachwytem krzyknęła mała kluseczkowata Andrusiewiczowa.

Wszyscy powstałi. Oficerowie przyłożyli ręce do czapek i zanucili hymn. Najfałszywiej ze wszystkich śpiewał uczuciowy sztabs kapitan Leszczenko.

Pito dużo, jak zresztą wogóle w pułku u siebie, w klubie, na obiadach i proszonych piknikach.

Wszczęła się ogólna rozmowa, wszyscy mówili razem tak, że trudno było pochwycić bodaj jedno zdanie. Aleksandra, która wypila dużo białego wina, z rumieńcami na twarzy, z oczyma pociemniałymi, z wilgotnymi usty, nagle pochyliła się do Romaszowa.

— Nie lubię tych prowincjonalnych pikników, mają w sobie coś banalnego, lichego — powiedziała mu. — Musiałam to zrobić dla męża przed jego wyjazdem, ale jakież to wszystko głupie! Można się było przecież zabawić i u nas w domu, w ogrodzie — wiesz pan, jaki u nas piękny, stary ogród. Mimo wszystko czuję się dzisiaj niezwykle szczęśliwą! Nie, Romaszko, mój miły, ja powiem, ja panu potem powiem daczego... Ja powiem... Ach, nie, nie, Romaszko, ja nie, nie nie wiem!

Powiki jej pięknych oczu opadły, w całej twarzy czecze było coś namietnego, obiecującego, męczącego-niecierpliwego. Uderzało bezwstydną pięknoscia i Romaszow, nie rozumiejąc, jakimś tajemniczym instynktem przeczuwał szal, owładający Aleksandra.

przeczuwał przez te słodyczy pełne drżenia, które opadły jego ręce, nogi, pierś.

— Jesteś pani dzisiaj niezwykła. Co pani jest?—zaszeptał.

Ona odpowiedziała z naiwnem zdziwieniem:

— Mówię panu, że nie wiem. Nie wiem. Spójrz pan! niebo błękitne, świat błękitny... Mną ogarnął jakiś cudowny błękitny nastrój, błękitna jakaś radość! Należ mi jeszcze wina, Romaszko, mój miły chłopeze!...

Na innym miejscu toczyła się ożywiona rozmowa o możliwości wojny z Niemcami, która wówczas miała być nieunikniona, jak wielu mniemało. Rozpoczęła się chaotyczna sprzeczka. Raptem gniewliwie zawołał Osadczy. Był pijaniuteński z czego przybladł, a oczy pociemniały mu zupełnie.

— Bajdy—krzyknął ostro. — Twierdzę, że to wszystko jedne bajki. Wojna zrodziła się sama przez się na świecie. Wszystko tak powstawało i powstaje. Dzieci rodzą się idyotami, kobiety pokrzywione, a mężczyźni nerwowcami. „Ach krew, ach mdleję”—szydził z kogoś.—A to ztąd się wzięło, że ustała okrutna, bezwzględna wojna. Bo czyż to jest wojna, gdy z piętnastej wiorsty padnie strzał i powali człowieka? *A jak nie wracasz do domu bohaterem*, wezmą cię do niewoli i dalejże „Ach kochanku, ach najmilszy, nie zecheesz popalić sobie?” U-u!—Osadczy ryknął groźnie i spuścił głowę jak byk, który chce ubość.—W wiekach średnich były wojny, to rozumiem! Szturm w nocy. Całe miasto w ogniu. Oddaję żołnierzom na trzy dni miasto, niech grabią—to rozumiem. Wdarli się. Wytaczano beczki. Krew i wino po ulicach. O, jakież to wesołe były ówczesne uczty na gruzach! Obnażone kobiety piękne, płaczące ciągniono za włosy. Litości nie znano. One były słodką zdobyczą odwagi!

— Nie posuwaj się pan za daleko—zauważyła żartobliwie pani Talman.

— Po nocach paliły się domy, dał wiatr a przez prąd powietrza chuwały się na szubienicach ciała wisielców, pod których stopami sprawiano uczty! Niewolników nie było. Po cóż oni? Och, cóż to były za piękne, za cudowne czasy! A bitwy! Pierś o pierś... dzikość, zezwierzęcenie, mimo chłodnej krwi... Co za ludzie, co za siła fizyczna! Panowie!—Podniósł się i wyprężył. Jego głos grzmiał zachwytem i hardością...—Panowie, wiem, wszyscy jesteście ze szkół wojskowych; wszyscyście z nich wynieśli mgliste pojęcia o wojnie... Ja piję... choćby się nikt nie przyłączył, piję sam za cześć i chwałę przesyłanych wojen, za ich okrutność krwawą a wesołą!

Wszyscy milczeli, porażeni ekstazą tego, zwykle milczącego, mrocznego człowieka i patrzyli na niego z ciekawością i ze strachem. Nagle zerwał się ze swojego miejsca Bek-Agamałow, zerwał się tak gwałtownie, że niektórzy drgnęli, a jedna z kobiet lekko krzyknęła. Oczy Beka dziko błyszczały, moeno zaciśnięte białe zęby miały coś drapieżnego. Chwytał powietrze, nie mogąc głosu wydobyć.

— O, O!... Ot to, ot rozumiem! A!—silnie potrząsnął ręką Osadczego.

— Do dyabła ze wszystkim! Z litością... ze wszystkim...

Odezwała się w nim krwiożerość plemienna. Porwał za rękojeść szabli, obejrzał się w koło i wyrwawszy ją z pochwy, zadał cięcie szatańskie najbliższemu krzewowi.

Posypały się młode listki na obrus i siedzących.

— Bek! Szaleńcze! Dzikusie—krzyknęły panie. Agamałow, jakby odrazu upamiętał się, bo natychmiast usiadł spokojnie na swoim miejscu.

Wstyd mu było za ten poryw, mimo to z po-



delba, gniewliwie patrzył na siedzących, obrzucając ich błyskawicznymi spojrzzeniami rozwścieczonego wilka.

Romaszow słuchał i nie słuchał Osadezego. Ogarało go dziwne wrażenie, czuł senność, słodkie upicie się jakimś niezwykłym trunkiem, którego nie masz na świecie. Zdawało mu się, że miękka, ciepła pajęczyna oplataje go i wypełnia mu duszę cudowną radością. Dłoń jego, jakby nieoczekiwanie dla niego samego, dotykała się ręki Aleksandry, ale ani on, ani ona nie patrzyli więcej na siebie. Romaszow śnił... Głosy Osadezego i Beka słyszał z jakiejś wielkiej dalekiej mgły, były rozumiane lecz puste.

„Osadezy... człowiek okrutny, człowiek, który mnie nie lubi — myślał Romaszow i ten, o kim myślał, był dlań nie tym dawnym, a nowym nie prawdziwym, a cieniem na jakimś ekranie. Osadezy ma żonę małą, szczupłą, zawsze brzemienną... Nigdzie nie bierze jej ze sobą... W jego rocie w roku zeszłym powiesił się młody żołnierz... Osadezy... tak... Cóż to jest Osadezy?... Ot teraz Bek wrzeszczy. Co to za człowiek? Czyż go znam? Tak. Ale mi on obcy, niepojęty? A ot, ktoś siedzi ze mną, obok mnie siedzi... Ktoś ty?... Płynie od ciebie szczęście... jestem niem pijany... Błękitna radość idzie do mnie!... Ot naprzeciw siedzi nachmurzony Nikołajew. Spogląda tutaj od czasu do czasu. Ach wszystko mi jedno! O błękitna radość!...

Ciemniało. Ciche liliowe cienie padły od drzew na polankę. Młodsza Michjinówna raptem wyrzekła:

— Państwo, a coź będzie z fijołkami? Mówią, że tutaj moc fijołków. Chodźmy szukać.

— Już późno, zauważył ktoś.—Nie się w trawie nie dojrzy.

— Teraz w trawie łatwiej zgubić, niż znaleźć—rzekł Ditz, cynicznie się zaśmiawszy.

— No, zatem rozłóżmy ognisko — zaproponował Andrusiewicz.

Zebrano masę chrustu, przeszlorocznych suchych liści i zapalono. Płomienie buchnęły. Jakby zalekłe zniknęły od razu resztki dnia, ustępując miejsca mrokom, które, wyłoniwszy się z gąszczu, opadły wokół ogniska. Purpurowe płomy błysnęły na drzewach, i zdawało się, że drzewa zaszeleściły, zachwiały się, to poglądając w krasne płomienie, to chwylając się w ciemności. Wszyscy wstali. *Deńszczycy* zapalili świece w szklanych kloszach. Oficerowie młodzi dokazywali jak chłopcy. Olizar mocował się z Michinem i ku powszechnemu zdziwieniu, niezręczny Michin dwa razy z rzędu powalił na ziemię swego wyższego, zręczniejszego przeciwnika. Skakano następnie przez ogień. Andrusiewicz udawał brzęczenie muchy na szybie, oraz jak łapią kurę; udawał rżnięcie piły, ostrzenie noża—potrafił to doskonale. Ditz bardzo udatnie żonglerował butelkami.

— Pozwólcie, moi państwo, pokażę wam także sztuczkę!—krzyknął nagle Talman.—Nie będzie żadnego cudu, nie z czarnoksięstwa, tylko zwinność rąk. Proszę *publicum* nateńczyć uwagę, zauważyć, że nie nie mam w rękach ani w rękawach. Zaczynam *Ein, zwei, drei, allez!*..

I szybko przy ogólnym śmiechu wyjął z kieszeni dwie nowe talie kart i głośno rozpieczętował.

— Preterans, panowie! — zaproponował — preferansik na świeżem powietrzu! Hm?

Osadezy, Nikołajew i Andrusiewicz siedli do kart. Leszczenko z głębokim westchnieniem umieścił się przy nich. Nikołajewa długo musiano namawiać, zanim dał się skłonić do gry. Zabierając się do niej, niejednokrotnie spoglądał w stronę Aleksandry, ale ponieważ przez blask płomieni trudno mu było cośkolwiek dojrzeć, więc tylko marszczył się, jego twarz wyrażała ostry żal i serdeczną me-

kę. Reszta towarzystwa podzieliła się na grupy i rozeszła po pobliskich polankach. Rozpoczęto grać w komórki, zabawa ta jednak szybko się skończyła. Stało się to po schwytniu przez Ditza starszej panny Michin, która zacerwieniwszy się, z oburzeniem zaprzestała zabawy. Kiedy mówiła, że grać nie chce, głos jej drżał niechęcią i obrazą głęboką z przyczyny, której wyjawić nie chciała.

Romaszow poszedł w głąb lasu.

Sam nie rozumiał czego wyczekuje, lecz jego serce wypełniała słodycz niejasnych radosnych przeczuć. Zatrzymał się na drzewie. Posłyszał za sobą leciuchny trzask łamanych gałązek, później szybkie kroki i szelest halki. Zbliżała się do niego Aleksandra, zbliżała szybko, lekko, piękna niby jasny cień leśny. Białą suknią odbijała od mroków, od ciemnych olbrzymich pni. Romaszow przystąpił do niej i bez jednego słówka objął w pól. Czuł ciepło jej oddechu, czuł bicie, przyspieszone rozkoszne bicie serca.

— Usiądźmy — rzekła. Osunęła się na trawę i poczęła poprawiać sobie włosy.

Romaszow usiadł przy niej, wpatrując się w twarzyczkę wzrokiem rozkochanym.

— Romaszko, czujesz się szczęśliwym? — spytała drżącym szeptem.

— Tak — odparł. Chwilę zamyslił się, przypomniał sobie cały dzień dzisiejszy i powtórzył gorąco: — o tak, czuję się ogromnie, ogromnie szczęśliwym! Powiedz dlaczego jesteś dziś tak niezwyczajną?

— Jaka?

Pochylona ku niemu, wpatrywała się w jego oczy.

— Cudowną jesteś. Tak piękną nigdy cię nie widziałem. Jakaś pieśnią drgasz cała, jakimś blaskiem. Jest w tobie coś nowego, zagadkowego,

nie wiem co... Czy... nie gniewaj się, Aleksandro Pietrowno, nie obawiasz się pani niczego?

Zaśmiała się cichutko. Altowy, pieszczotliwy śmiech zadrgał radością w piersi Romaszowa.

— Kochany Romaszko. Kochany, dobry, bojaźliwy, miły Romaszko. Powiedziałam wszak, że ten dzień jest naszym. O niczem nie myśl. Romaszko, wiesz czemu dzisiaj jestem tak śmiała? Nie? Nie? Nie wiesz? Jestem dzisiaj rozkochana w tobie. Ale, ale — to — jutro przejdzie...

Romaszow wyciągnął ręce, szukając jej ciała.

— Aleksandro Piotrowno... Oleńko... Saszo! — szepnął błagalnie.

— Och! nie nazywaj mnie Oleńką — jak chcesz, tylko nie tak. — Raptem przypomniała sobie i rzekła: Jakie masz śliczne imię — Jerzy...

— Najdroższa moja — zawołał Romaszow namiętnie.

— Słuchaj... słuchaj... Bardzo ważne i... zadziwiająco piękne. Śniło mi się, że tańczyliśmy ze sobą walca w jakimś niezwykłym pokoju. O, w tej chwili poznała bym ten pokój. Było tam moc drobiazgów, dywany, nowe pianino, paliła się latarnia, rzucając ezerwone światło, wszystko było w purpurze... Gdzieś grała niewidzialna muzyka... tańczyliśmy... Ach, we śnie, tylko we śnie możebna jest słodycz takiej wzajemnej bliskości. Krażyliśmy szybko, coraz szybciej... Przedłużało się to długo i było niewypowiedzianie cudnym, przyjemnym... Słuchaj, Romaszko, fruwasz ty czasem we śnie?

Romaszow odrazu nie nieodrzekł. Został jakby wtrącony raptem w jakąś zaczarowaną baśń. Bajka też był półmrok ciepłej wiosennej nocy, rozsluchane milczące drzewa wkoło i ta dziwna, rozkoszna kobieta w białej sukni, siedząca obok niego tak blisko, tak bardzo blisko. To też, by się obudzić z tych czarów, musiał się opanować.

— Naturalnie, że fruвам — rzekł po chwili. —

Tylko rok rocznie coraz to niżej, i niżej. W dzieciństwie fruwałem pod sufitem. Śmiesznym było patrzeć na ludzi z góry: zdało się, że chodzą na głowie. Starali się dostać mnie szcزتką od podłogi, lecz nie mogli. A ja wciąż fruwałam i śmieję się. Teraz nie ma już tego, teraz skaczę tylko — rzekł Romaszow z westchnieniem. — Odbiję się nogami, lecę nad ziemią... Tak, ze dwadzieścia kroków — i nie wysoko, nie wyżej nad arszyn. — Aleksandra zupełnie osunęła się na ziemię, oparła się na łokciu i wsparła o dłoń główkę. Po chwili zaczęła mówić dalej:

— Po tym śnie zapragnęłam cię widzieć, gwałtownie, gwałtownie zapragnęłam. Gdybyś był nie przyszedł, ja nie wiem co bym zrobiła. Chyba sama bym przyszła do ciebie. Dlatego prosiłam na piątą. Bałam się o siebie samą. Drogi mój, rozumiesz ty mnie?

O jakie pół łokcia od Romaszowa znajdowały się jej nóżki, skrzyżowane jedna na drugiej, dwie małe nóżki w płtych pantofelkach, czarnych ażurowych pończochach. Oszołomiony, porwany szaleńcem, Romaszow raptem przywarł ustami do tego żywego jędrnego chłodnawego ciała.

— Romaszko... Daj pokój—posłyszał nad sobą słaby, przeciągły, jakby leniwy jej głos.

Podniósł głowę. I znów wydało mu się wszystko jakąś cudowną tajemniczą, leśną bajką.

Po równej spadzistości majaczył las z ciemną trawą, z czarnymi, milczącymi drzewami, które bez ruchu nad słuchiwały czegoś, półśnem objęte. U szczytów, po przez gęstwiny konarów, nad równą, wysoką linią horyzontu rdzawiła się wążka taśma zorzy ciemno-purpurowej, podobna do gasnącego węgla lub do płomienia, odbijającego się po przez ciemno-czerwone wino. Wśród czarnych pni na wzgórzach leżała w ciemnej pachnącej trawie, jak

odpoczywająca leśna bogini, niepojęta, piękna, biała kobieta.

Romaszow przysunął się do niej. Zdawało mu się, że z jej twarzy bije ku niemu bladawa światłość. Oczu nie widział, zamiast nich dwa wielkie ciemne piętna, ale Romaszow czuł, że ona patrzy na niego.

— To baśń!—wyszeptał ledwo dosłyszalnie.

Całował jej suknię, ujął dłoń i przywarł do wężkiej, pachnącej białej ręki ustami, mówiąc jednocześnie rwanym namiętnym szeptem:

— Oleńka... Kocham cię... Kocham...

Unióśszy się nieco, dojrzał jej oczy rozszerzone, to zwięzające się, od czego dziwnie mieniła się znana a nie znana mu jej twarzyczka. Drżącymi ustami, zgorączkowanymi pragnieniem szukał jej ust, lecz Aleksandra odsuwała się od niego, powtarzając cichym szeptem:

— Nie, nie, nie... Najmilszy, nie...

— Droga... Co za szczęście, ubóstwiam! Kocham cię. Spójrz ta noc, cisza, nikogo prócz nas. O moje szczęście jak cię ubóstwiam!

Ona, ciężko oddychając, leżąc całym ciałem na ziemi, wciąż z trudem powtarzała „nie, nie“. Nakoniec rzekła półgłosem:

— Romaszko, dlaczego ty jesteś taki... bez energii. Nie chcę ukrywać, magnetyzujesz mnie sobą: niezręczność twoja, czystość, miękkość pociągają. Nie powiem, że kocham, ale myślę o tobie, widzę cię... czuję... Podniecasz mnie swoim widokiem, swoim dotknięciem. Ale czemuś ty bezsilny? Mogę cię szanować? O! gdybyś ty był mocarzem.— Zdjęła z Romaszowa czapkę i zaczęła gładzić jego miękkie włosy.—Gdybyś mógł zdobyć sobie wielkie imię, stanowisko!

— Wszystko uczynię!—cicho wykrzyknął Romaszow. — Bądź tylko moją. Ja całe... ja całe życie...

Przerwała mu z łagodnym uśmiechem:

— Wierzę, że chcesz, gołąbeczku, ale nie dojdiesz do niczego. O, gdybym cokolwiek mogła mieć nadziei, rzuciłabym wszystko i uciekła do ciebie. Ach, Jerzy... Słyszałam kiedyś; że Bóg stworzył wszystkich ludzi całymi, a potem niewiadomo dlaczego podzielił każdego na dwie części i porzucił je po świecie. I oto szuka jedna połowa drugiej wieki, wieki całe—naprawdę. Mój drogi, ja z tobą tworzymy te dwie połowy; mamy wiele wspólnego w lubianem i nielubianem, w myślach, snach, pragnieniach. Rozumiemy się z jednej uwagi, słówka, bez słów — samą duszą. I oto muszę tracić ciebie. Ach, to już drugi raz w mojem życiu.

— Tak, wiem.

— Mówił ci?—spytała szybko Aleksandra.

— Nie, stało się to przypadkiem. Tak wiem, Zamilkli.

W błękitach zadrgały pierwsze złote punkciki. Z prawej strony ledwo, ledwo dobiegały głosy, śmiech i czyjś śpiew. Pozostała część lasu zagrożona była w półmrok, w świętą zadumaną ciszę. Ogniska ztąd nie było widać, tylko z rzadka po wierzchołkach dębów przebiegał chwilami drżący odblask.

Aleksandra wciąż gładziła głowę i twarz Romaszowa, a kiedy podporucznik całował jej ręce, sama cisnęła mu je do ust.

— Nie lubię mego męża—mówiła wolno, jakby w zadumie. — Jest szorstki, niedelikatny, brak mu subtelności. Ach—wstyd mówić, ale my, kobiety, nigdy nie zapominamy pierwszego stosunku z mężczyzną. Potem, mój mąż, on jest ogromnie zazdrośny. Dotąd mężczy mnie tym nieszczęsnym Nazańskim. Dopytuje się o każdy drobiazg, robi takie niezwykle zapytania, takie wstrętne, fe! Boże! Toż to był niewinny półdziecinnie romans! Ale on na jedno jego wspomnienie wściekłością dyszy!

— Kiedy mówiła, jej głos, jej dłonie, spoczywające w dłoni Romaszowa, drżały.

— Zimno ci?

— Nie, mój drogi—dobrze mi...

Nagle z raptowną namiętnością cicho wykrzyknęła!

— Dobrze mi o—dobrze z tobą!

Wówczas on zaczął mówić niepewnym głosem.

— Powiedz mi, proszę cię. Sama mówisz, że nie lubisz go... Dlaczego poszłaś za niego?

Aleksandra szybko uniosła się, siadła, nerwowo przesunęła rękoma po głowie i twarzy, jakby budząc się ze snu.

— Późno. Chodźmy. Zaczną nas szukać — rzekła zupełnie spokojnym, zwyczajnym tonem.

Powstali i stanęli obok siebie w milczeniu, słysząc swe oddechy, patrząc w oczy i nie widząc ich.

— Żegnaj—powiedziała nagle dzwięcznym głosem.—Żegnaj, moje szczęście, moje niedługie szczęście!

Obwinęła się rękoma dookoła jego szyi i przywarła się doń całym swoim ciałem, wilgotnymi wargami przygłęła do jego ust. A w tym uścisku miotła się namiętność, miotał się szal z jękiem duszony w wnętrzu. Zdało się Romaszowi, że czarne pnie potoczyły się w jedną stronę, a ziemia posunęła w drugą, czas stanął.

Przemocą wyzwoliła się z jego uścisku i stanowczo rzekła:

— Żegnaj mi. Dość. Chodźmy.

Romaszow padł przed nią na kolana. Objął jej nogi i zaczął obsypywać długimi, namiętnymi pocałunkami kolana Aleksandry.

— Oleńka, bądź moją,—szeptał obłądnie—dlaczego nie chcesz mi się oddać? Dlaczego? Bądź moją!

— Chodźmy, chodźmy—nagliła. — Ach wstań Jerzy. Gotowi plotkować. Chodźmy.

Poszli w tę stronę, z kądem dobiegały ich głosy. Romaszow szedł jak pijany.

— Nie chcę oszustwa, — mówiła, zadychając się, Aleksandra. — Zresztą, nie jestem wyższą po nad oszustwo, ale nie chcę tchórzyc. W oszustwie zawsze jest tchórzostwo. Powiem ci prawdę: nigdy męża nie zdradzałam i nie zdradzę go dotąd, póki nie porzucę go zupełnie. Pieszczoty, pocałunki jego są mi wstrętne, okropne. Teraz, ach, ilekroć myślałam o twoich ustach—zrozumiałam, ile rozkoszy jest w oddaniu się temu, którego się prawdziwie kocha. Ale ja nie chcę tajnej kradzieży, a potem... nachyl się, powiem ci do ucha... potem — nie chcę dziecka. Och co za wstręt! Ober-oficerowa, czterdzieści osiem rubli pensyi, sześcioro dzieci, pieluchy, nędza... Ach, jakież to okropne!

Romaszow ze zdumieniem spojrział na nią.

— Masz wszak męża... Przecież to jest konieczne—rzekł niepewnym głosem.

Aleksandra głośno się roześmiała. W tym śmiechu było coś instynktownie nieprzyjemnego, rzucającego chłód w duszę Romaszowa.

— Romaszko... ojoj... Jakiś ty głu-piut-ki! — zawołała śpiewnie, znany mu tonem, cieniutko, dziecinnie. — Czyż ty naprawdę nie pojmujesz tych rzeczy? Tak, powiedz—nie rozumiesz?

— Wybacz, ale, słowo...

— Bóg więc z tobą, nie wiesz, nie wiesz. Jakiś ty nieskazitelny, miły, mój Romaszko! Ha, jak będziesz starszym zrozumiesz i przypomnisz sobie moje słowa: co można z mężem, tego nie można z kochanym człowiekiem. Nie myślmy o tem—to niktzemne, ale cóż począć.

Dochodzili do miejsca pikniku. Z poza drzew widoczny był ogień. Dopalające się główne, na

których mierzchł ogień, zdawały się być odlaniami z czarnego metalu.

— No, a jeśli, zrobię to, czego zechcesz, jeśli zdobędę imię, stanowisko? Wtedy Sasza?

Ona przyglęła twarzą do jego ramienia i rzekła porywająco:

— Wtedy—tak. Tak. Tak. Tak.

Zeszli na polanę. Widać było całe towarzystwo. Palenisko a wkoło niego małe czarne figurki.

— Romaszko, jeszcze jedno i ostatecznie — rzekła ze smutkiem i lękiem w głosie Aleksandra Piotrowna. — Nie chciałam ci psuć wieczoru dlatego nie nie mówiłam dotąd. Słuchaj, nie możesz u nas więcej bywać.

Podporucznik stanął zdziwiony, przerażony.

— Dlaczego? O Sasza!

— Chodźmy, chodźmy... Nie wiem *kto* to robi, ale do męża wciąż ślą anonimy. Nie pokazywał mi ich, lecz mówił, wspominał nieraz. Wypisują wstrętne, niktzemne rzeczy o mnie i o tobie. Słowem, proszę cię, abyś u nas nie bywał.

— Aleksandro! — jęknął błagalnie Romaszow, wyciągając do niej ręce.

— Ach, czy myślisz, że nie cierpię i ja mój najdroższy, najukochańszy, ale—tak być musi. Zdaje mi się, że on sam będzie o tem mówił. Błagam cię więc, panuj nad sobą.

— Dobrze—odparł głucho Romaszow.

— Oto i wszystko. Żegnaj biedaku! Podaj mi rękę. Uściśnij mocno, mocno aż do bólu. Ot tak—Aa!... A teraz żegnaj mi, radości moja!

Nie dochodząc do towarzystwa, rozeszli się. Aleksandra poszła prosto, a Romaszow brzegiem rzeczki.

Preferans jeszcze się nie skończył, lecz brak obojga był dostrzeżony. Przynajmniej Ditz ta-kiem obrzucił spojrzeniem Romaszowa i tak cynicznie

zakaszłał, że podporucznik miał ochotę rzucić na niego głownię. Widział później, jak Nikołajew powstał od kart i, odprowadziwszy Aleksandrę na bok, mówił do niej coś z oznakami gniewu i rozłoszczoną twarzą. Ona wyprostowała się, powiedziała mu kilka słów z najwyższym, niedoopisania oburzeniem i politowaniem. I ten wielki, silny człowiek stał się nagle pokornym. Odszedł od niej uspokojony, ale uspokojony zewnątrz, a tający w głębi swej złość dzikiego zwierzęcia. Wkrótce zabawa skończyła się.

Zrobiło się chłodno. Od rzeki ciągnęła wilgoć. Wesołość zniknęła. Wszyscy się rozjeżdżali niezadowoleni, nie ukrywający ziewania. Romaszow znów jechał wraz z pannami Michin i całą drogę milczał. Przed jego oczyma stał ciemny las, wzgórze, krwawa taśma zorzy i biała postać kobiety, leżącej w ciemnej pachnącej trawie. Mimo prawdziwą, szczerą tęsknotę, smutek, od czasu do czasu mówił o sobie w myśli swej patetycznym tonem:

„Piękną jego twarz zasnuł obłok zgryzoty.”

## XV.

Pierwszego maja pułk stanął obozem po za miastem. Rozłożył się tam, gdzie i co rok—o dwie wiorsty po drugiej stronie toru kolejowego. Oficerowie młodzi, stosownie do swego stanowiska, musieli mieszkać nieopodal namiotów w drewnianych barakach. Lecz Romaszow mieszkania swego nie opuszczał, dlatego, że baraki 6-ej roty spróchniały, a na remont brakowało potrzebnych pieniędzy. Trzeba było więc cztery razy na dzień robić spory kurs drogi: na naukę ranną, potem do klubu na obiad, następnie na naukę wieczorową i znów do miasta. Romaszow był zmęczony i rozdrażniony przez to. W początkach pierwszego miesiąca schudł, zczerniał, oczy mu zapadły. Wogóle tak dla oficerów jak i dla żołnierzy czasy były dość ciężkie. Przygotowywano się do majowej wizytacyi generała i nie znano ani wypoczynku, ani się też oszczędzano. Komendanci rot gnębili swych żołnierzy po dwie, trzy godziny po za przepisami. W czasie nauki ze wszystkich stron dolatywały nieustająco kłapania po fizjonomiach żołnierskich, wymyślenia okropne. Często Romaszow z daleka, na jakieś dwieście kroków, widział, jak niejeden rozwścieczony rotny bił po kolei swoich żołnierzy z całego szeregu. Zrazu bez-

dźwięczny rozmach ręką, a potem suchy trzask uderzenia po twarzy i znów to samo i znów... Było to coś wstrętnego. Podoficerowie bili swoich podwładnych za najmniejszy błąd w teoretyce, za zgubienie tempa w czasie marszu, walili za cokolwiek aż bębni w uszach pękały, walili do krwi, wybijali zęby, kopali...

Nikt się nie skarżył: jakaś straszna, okrutna hipnoza ośwładnęła całym pułkiem. Piekielne te chwile zwiększał jeszcze w nieczemności szalony upał. Maj bowiem w tym roku był bardzo gorący.

Wszyscy byli do najwyższego stopnia zdenerwowani. W oficerskim klubie głupie rozmowy, niedorzeczne kłótnie, obrazy były na porządku dziennym. Żołnierze mieli wyraz twarzy, jaki mają idyoci. Podczas rzadkich wypoczynków z po za namiotów nie słychać było ani wesołej rozmowy, ani śmiechu, ani żartów, chociaż żołnierzom po całodziennem zmęczeniu i znęcaniu, kazano weselić się. To też po sprawdzeniu listy, żołnierska siadywali w koło i „*po prikazu*“ krakali:

Dla żołnierza rosyjskiego  
Kule, bomby, niczem są,  
Z niemi on za pana brata  
Wszystko głupstwem dla niego.

Grywali na harmonii, a feldfelbel komenderował:

— Grzegorz Skworec w koło! Tańczuj sukiny!

Tańczono, ale w tym tańcu było coś martwego, coś drewnianego, coś, co lży wyciskało.

Jedna tylko 5-a rota była wesoła, swobodniejsza i nie tak ciemieżona. Uczyla się dwie godziny krócej, niż inne. Tą rotą komenderował kapitan Stelkoski, dziwny człowiek, kawaler, bogaty—otrzymywał co miesiąc z kądeś kolo dwustu rubli, samodzielny, suchy, zamknięty, trzymający się zdaleka

od kolegów, znany był jako rozpustnik. Przyjmował do siebie za pokojówki młode dziewczęta z miasta lub ze wsi i po miesiącu uwalniał, hojnie nagradzając je pieniędzmi. W jego rocie nie bili się, nie kłócili, a wogóle tak z zewnętrznego swego wyglądu jak również z pojętności nie ustępowała ona gwardyjskim. Kapitan posiadał dużo cierpliwości, zimnej krwi i potrafił wlewać ją w swych podwładnych. To, co inni osiągalni w nauce przez miesiąc, on w jeden dzień: Mówił mało, ale stanowczo—jego głos oniemiewał żołnierzy. Koledzy okazywali mu dużo przyjaźni, żołnierze ubóstwiali go. Była to jednem słowem, jedyna pod tym względem rota wyjątkowa w całej, zapewne, armii rosyjskiej.

Nadszedł nareszcie dzień 15-go maja, kiedy, według rozkazu komendanta korpusu, miał się odbyć przegląd. W tym dniu podoficerowie pobudzili żołnierzy koło godziny czwartej. Wyjątek stanowiła rota 5-a. Pomimo ciepła żołnierze drżeli w swoich koszulach. Ich twarze wydawały się szare, znużone, przygnębione.

O godzinie szóstej przybyli do rot oficerowie. Przegląd miał się odbyć o godzinie 10-iej, żadnemu jednak dowódcy roty nie przyszło na myśl, by żołnierze mogli wypocząć. Jeden Stelkowski tylko wpadł na to. Tego rana więcej, niż innych uczono się gwałtownie teoretyki, wymyślano i bito zupełnie zidyociałych ludzi.

O godz. dziewiątej roty zeszyły się na placu o pięćset kroków od obozu. Stało tam już w prostej linii—długości z półwiorsty szesnastu żołnierzy z różnokolorowemi chorągiewkami na karabinach. Porucznik Kowako, jeden z główniejszych bohaterów dnia dzisiejszego, konno latał jak waryat przed tą linią, równając ją ciągle. Czapka zsunęła mu się na tył głowy, szabla objiała o bok konia, on sam

40  
spocony, zziajany, wyglądał jak upiór jaki na białym starym wierzechowcu.

Dzisiaj od porucznika Kowako zależało bardzo wiele, według rozciągniętej przez niego linii miało stanąć szesnaście rot.

Na dziesięć minut przed 10-ą wyszła z obozu 5-a rota. Twardym, gęstym krokiem, od którego drżała ziemia, przeszło wobec innych rot tych stu ludzi zręcznych, dobranych, zuchowatych. Koło nich z boku siedł mały, chudy kapitan Stelkoski, siedł niestaranie, przechylał wciąż głowę to na lewe, to na prawe ramię i przyglądał się swym ludziom.

Komendant batalionu podpułkownik Lech, który, jak zresztą, wszyscy oficerowie od samego już rana był podniecony i zdenerwowany, napadł z wymówkami na Stelkoskiego za późne wyjście z obozu. Ale Stelkoski z zimną krwią wyjął zegarek i rzekł:

— Na ściągnięcie rot wyznaczono godzinę 10-ą. Teraz trzech minut jeszcze brakuje. Nie mam potrzeby męczyć ludzi napróżno...

— Bez rozmów—zakwieczał Lech, machając rękami i zatrzymując konia.—Proszę milczeć, gdy robię uwagę na służbie! Pojął jednak, że racyi nie miał, dlatego też natychmiast odjechał ku rocie ósmej, gdzie właśnie sprawdzano zawartość rańców.

— A to co, ha, to co wymyślił—wrzeszczał przed ósmą rotą—sklepiki zakładacie, targ? Psy wam na polowaniu karmić ha—to! O czem myśleliście wcześniej! Ubiera-a-ac się!

Kwadrans na jedenastą zaczęto wyrównywać rotę. Było to długie męczące zajęcie. Od żołnierza do żołnierza stojących z chorągiewami, wyciągnięto sznury. Każdy żołnierz pierwszego szeregu musiał bezwzględnie dotknąć kończynami nóg sznura—na tem polegał szyk sprawności wojskowej. To jeszcze było rzeczą mniejszej wagi, większej zaś, aby między czubkami nóg mogła się zmieścić kolba

41  
a sami żołnierze stali jak jeden. To też komendant ci rot wrzeszczeli z całych: „Iwanow, korpus naprzód, Sierosztan prawe ramię w tył! Lewa noga w tył!...”

W pół do jedenastej przyjechał komendant pułku. Miał gniadego jabłkowego mierzyna, na którym świetnie wyglądał.

Powitał pułk wesółym głosem.

— Witajcie zuchy!

Romaszow przypomniał sobie czwarty pluton. Nie mógł wstrzymać się od uśmiechu na myśl o Chlebnikowie. Niema co mówić, ładni są, zuchy. Przy dźwiękach muzyki, grającej na powitanie, wyniesiono sztandary.

Rozpoczęło się nużące oczekiwanie.

Do samego dworca kolejowego byli poustawiani żołnierze z sygnalami, obowiązani dać znać o przybywaniu *naczalstwa*. Kilka razy trwożono oczekujących zupełnie nie potrzebnie. Wtedy pośpiesznie wyciągano paliki ze sznurami, pułk równał się, sztywniał, zamierał w oczekiwaniu, po paru minutach rozkazywano stać żołnierzom swobodnie, nie pozwalając jednak na zmianę stóp, raz ustawionych według prawideł.

O trzysta kroków od wojska na wzniesieniu różnokolorowem ubraniem tworzyły strojny tłum żony oficerów, które przyjechały, aby się przyjrzeć paradzie. Romaszow wiedział doskonale, że Aleksandry między niemi niema, ale gdy spojrział w stronę kobiet—za każdym razem czuł chłód koło serca, jakieś niezwykle podniecenie i niepokój.

— Baczność! Z chorągiewami na miejsca! — zakomenderował Szulgowiec.

Spojrząwszy z ukosa, Romaszow ujrzał w oddali niewielką grupę małych jeźdźców, którzy w kłębach kurzu szybko podjeżdżali do pułku.

Szulgowiec z ostrym i jakby natehionym wyrazem twarzy odjechał na środek placu. Lubując



się w urzędowych przyjęciach, podniósł białą swą brodę, oglądał przez dłuższy czas czarną, zwartą masę wojska, wreszcie radośnie, ze zgrozą zaciągnął głosem, który zadrgał echem:

— Pu-ulk, bacz-ność! Na rrrra...

Wytrzymał długą pauzę, jakby się rozkoszował swoją władzą nad tą masą i chciał tę rozkosz przedłużyć, a potem nagle, poczewierniawszy z napreżenia, ryknął z całych sił:

— ... mię broń.

Raz—dwa! Zrobił się szum, szelest... setki rąk podniosło karabiny.

Z prawej strony wesoło, jasno, poniosły się dźwięki powitalnego marsza.

Niby rozbawione, roześnione dzieci zadrgały piszczałki, flety, trąbki, z okrzykiem zwycięstwa śpiewały trąby, a głuche pojękiwania bębna przyspieszały ich lot.

Na stacyi długo, ciepko, czysto zaświstał parowóz, i ten miękki ton wplótł się w zwycięskie orkiestry, zlał z nimi w cudowną harmonię.

Jakaś rzeźwa, śmiała fala porwała Romaszowa, radośnie ponosząc go z sobą. Dojrzał raptownie bladawy od upału skłon nieba, złote światło słońca, rozrzucone w przestworzach, ciepłą zieleń dalekich pól — dojrzał tak, jakby przedtem tego wszystkiego nie widział; poczuł się młodym, silnym, zręcznym, dumnym z tego, że i on należy do tej świetnej nieruchomej masy ludzi, tajemniczo skutych jedną niewidzialną wolą.

Szulgowicz, trzymając goły pałasz przed sobą, ciężkim galopem ruszył na spotkanie...

Przez hałaśliwe tony orkiestry, słychać było spokojny, pełny głos generała:

— Witaj, pierwsza roto!

Żołnierze przyjacielsko, starannie i głośno odpowiedzieli.

I znów na stacyi zaświstał parowóz — tym razem urywkowo, krótko, jątrząco.

Witając rotę po rocie, generał korpusu jechał wolno przed frontem wojsk. Romaszow dostrzegł nareszcie jego ciężką, tęgą figurę, na której marszczył się kitel, twarz kwadratową nieomal, zwróconą do żołnierzy, dekę z czerwonymi węzłami na koniu, małą nogę obutą w niskie, lakierowane buty.

— Witaj, szósta!

Ludzie, znajdujący się wkoło Romaszowa, odkrzyknęli tak głośno, jakby zrywali się od własnego krzyku.

Generał z pewnością siebie siedział na koniu, a koń z oczyma nabiegłymi krwią, wygiąwszy pięknie szyję, gryząc mundsztuk, szedł lekkim, roztańcowanym krokiem.

„Ma brwi siwe, wasy czarne, zapewne farbowane” — pomyślał Romaszow.

Przez złote okulary, komendant korpusu uważnie wpatrywał się czarnymi, młodzieńczymi, rozumnymi, wesołymi oczyma, w każdy utkwiony w niego wzrok. Zrównał się z Romaszowem i przyłożył rękę do daszka czapki. Romaszow stał wyciągnięty jak struna z naprężonymi mięśniami nóg, mocno, aż do bólu ściskając rękojeść szabli. Oddany ukłon, dreszczem zachwyty wstrząsnął duszę podporucznika. Patrząc w oczy generała według swego zwyczaju pomyślał:

„Oczy generała bojowego z zadowoleniem spojęły na wytwornej, szczupławej postaci młodego oficera”.

Komendant korpusu objechał w ten sposób wszystkie rotę po kolei, z każdą się witając. Za nim w nieładzie jechała świta, około piętnastu oficerów ze sztabu, na pięknych koniach. Romaszow i na nich patrzył również temi samymi oddanymi oczyma, ale nikt ze świty nawet nie spojrzął na

niego: wszelkie parady, spotkania z muzyką, niepokój malutkich oficerków piechoty, wszystko to dawno ich znudziło. Ze smutkiem, z zazdrością poczuł Romaszow, że ci ludzie żyją życiem niedościgłym dla niego, życiem wyższym, piękniejszym.

Ktoś z oddali rozkazał muzyce przestać grać. Komendant korpusu jechał klusem z lewej ku prawej stronie, a za nim jego świta. Pułkownik Szulgowicz podjechał do roty pierwszej i, podeigając swego mierzyna, krzyknął dziko, lekliwie, ochryplym, barbarzyńskim głosem, takim, jakim krzyczą podczas komendy przy pożarze brand-majorzy:

— Kapitanie Osadezy! Wyprowadzać rotę pierwszą! Żywooo!

Osadezy jak i komendant pułku lubował się w donośnej komendzie.

I teraz w szesnastej rocie dał się słyszeć jego metaliczny głos:

— Rota, na ramię! Równanie do środka, ma-arsz!

Cała jego rota dzięki długiej męczącej nauce wypracowała dla marszu szczególniejszy twardy, ciężki krok. Żołnierze podnosili wysoko nogi i z siłą rzucali je na ziemię. Tym sposobem maszerowali głośno, silnie i wzbudzali tem zawiść u innych komendantów rotnych.

Nie zdążyła jednak rota pierwsza zrobić i 50-u kroków, gdy komendant korpusu gniewliwie zawołał:

— A to co znowu? Zatrzymaj pan rotę. Zatrzymaj! Komendancie roty, pozwól pan do mnie. Cóż to jest? procesya pogrzebowa, fakeleug? Marsz na trzy tempa? Teraz, kapitanie, nie czasy Mikołajewskie, gdy służono po lat dwadzieścia pięć. Ile pan czasu straciłeś na ten *corp de ballet* drogocennych dni?

Osadezy stał przed nim pochmurny, nierucho-my, wysoki jak tyka, w rękę trzymał obnażony

spuszczony pałasz. General zamilkł na chwilę, potem zaczął znów spokojniejszym lecz ironicznym głosem:

— Zupełnie ludzi musiałeś pan zakuć nauką podobnego maszerowania? Ech wy! A zapytać was... tak, ot, pozwólcie, jak nazywa się ten młodzian?

General pokazał palcem na drugiego żołnierza od prawego skrzydła.

— Ignacy Michajłow, wasza jaśnie wielmożność — obojętnym, żołdackim, suchym basem odpowiedział Osadezy.

— No dobrze. A co wy wiecie o nim? Kawaler on? Żonaty? Dzietny? Może on tam u siebie na wsi ma jakąś ciężką troskę? biedę? nędzę? Co?

— Nie mogę wiedzieć tego, wasza jaśnie wielmożność. Stu ludzi. Trudno zapamiętać...

— Trudno zapamiętać — z goryczą powtórzył general. — Ach panowie, panowie! Powiedziane jest w Piśmie: nie gascie ducha; a wy co czynicie? A gdy przyjdzie do walki, to to nieszczęsne, biedne, szare bydelko was swoją pierśią osłoni, z ognia was na swoich ramionach wyniesie, na mrozie was swoim podartym szynelikiem nakryje; a wy — „nie mogę wiedzieć”.

I momentalnie rozdrażniając się nerwowo i niepotrzebnie targając cugle, general zakrzyczał na pułkownika, po nad głową Osadczego.

— Pułkowniku, odwołajcie tę rotę. Nawet patrzeć nie chce. Odwołajcie zaraz! Pajace! Tekturowe pajace! Ołowiane mózgi!

Od tego zaczęły się niepowodzenia pułku. Znużenie i zahukanie żołnierzy, bezmyślne okrucieństwa podoficerów, niesumienne i niedbałe traktowanie służby przez oficerów; wszystko to jasno i haniebnie wyszło na jaw podczas przeglądu. W drugiej rocie żołnierze nie umieli „Ojeze nasz”, w trzeciej — oficerowie mylili się w rozrzucaniu linii bojowych,

w czwartej—żołnierzowi w czasie ćwiczeń z bronią słabo się zrobiło. A głównie, że w żadnej rocie nie mieli pojęcia o sposobach używanych w razie nieoczekiwanego ataku kawaleryjskiego, chociaż uczono się tych sposobów i znano ich ważność. Sposoby te wynalezione były i wprowadzone w użycie przez samego generała i polegały na szybkich zwrotach oraz przemianach, które wymagały olbrzymiej zręczności, szybkiego oryentowania się i osobistej poważnej inicjatywy. Wszystkie roty nie miały o tem najmniejszego pojęcia, prócz piątej.

Dokonawszy przeglądu, generał oddał z szeregów wszystkich oficerów i podoficerów, a potem zapytywał żołnierzy, czy są zadowoleni, czy otrzymują co się im należy, czy nie mają pretensyi? Żołnierze jeden za drugim odpowiadali „tak jest wszyscyśmy zadowoleni”. Kiedy zapytywano rotę pierwszą, Romaszow słyszał jak w szeregach końcowych feldfelbel jego roty, Rynda, mówił groźnym tonem:

— Ot, rzeknij mi który, że masz pretensyę! Dam ja mu potem pretensyę!

Rota piąta zaprezentowała się najświetniej. Zuchowaci, wypoczęci żołnierze spełniali tak swobodnie, lekko i umiejętnie komendę, iż zdało się, że przegląd cały był dla nich zabawką, a nie strasznym egzaminom.

Generał zrazu nachmurzony, potem w miarę rozjaśniał swoją twarz, od czasu do czasu, rzucając żołnierzom „dobrze dzieci”—była to pierwsza ledwo pochwała. Dózysami wobec ataku kawaleryi Stelkowski ostatecznie zawojował generała. Komendant korpusu sam mu wskazywał rozmaite sytuacje, wołając: „Kawalerya z prawej osiemset kroków”. Stelkowski, ani na chwilę nie tracąc zimnej krwi, obiecał z żołnierzami odpowiednią pozycyę, a obierał tak sprawnie i tak szybko, że generał zasypał go pochwałami.

Po przeglądzie rota znowu stanęła w szere-

gach. Generał nie zwalniał jej. Przejeżdżając przed frontem, przyglądał się uważnie żołnierzom, wpatrywał w nich przenikliwie, z łagodnym uśmiechem, z radością w oczach.

— Spójrz, pułkowniku, cóż to u nich za mordy! Karmicie ich pierogami, czy co, mój kapitanie? Słuchaj ty, grubomordy — wskazał podbródkiem na jednego z żołnierzy—nazywasz się Kowal, hm?

— Tak jest jwp. generale. Michał Borejczuk—wesoło, z dziecinnym uśmiechem odparł żołnierz.

— Hm, a ja myślałem, że Kowal. Omyliłem się—zartował generał. Cóż robić, nie udało się...—dorzucił tutaj cyniczny frazes.

Twarz żołnierza rozplynęła się w głupio radosnym uśmiechu.

— Tak jest, jwp. generale — krzyknął jeszcze głośniej. — U siebie na wsi zajmowałem się kowalstwem. Byłem więc kowalem.

— Aha, widzisz! — Generał przyjacielsko kiwnął mu głową. Dumny był ze znajomości duszy żołnierskiej.—Kapitanie, cóż on, dobry żołnierz?

— Bardzo dobry. Oni wszyscy tacy,—odparł Stelkoski z pewnością siebie.

Generał uśmiechnął się, z zadowoleniem spoglądając na żołnierzy.

— No, zdaje mi się, kapitanie, tego... hm... Muszą być przecie pod karą?

— Nie ma żadnego, panie generale. Piąty rok nikogo nie karano u mnie.

Generał pochylił się na siodle i wyciągnął rękę swą do Stelkoskiego.

— Serdeczne dzięki, przyjacielu, — zawołał drżącym głosem. Oczy mu zaszyły łzami. On, jak zresztą wielu cudaków, lubił czasem ze wzruszenia płakać.—Dzięki, ucieszyliście starca. Dzięki,—energicznie krzyknął.

Dobre wrażenie, pozostawione przez rotę piątą, wpłynęło na generała o tyle, że szóstej wiele

darował i przegląd tej roty odbył się jako tako. General nie chwalił, ale i nie ganił. Jednakże i szósta rota przy bagnutowaniu chochołów słomianych weale się nie popisała.

— Żle, nie tak, — gorączkował się komendant. — Klój w serce, zwijaj sztyk w trąbkę i w serce! Wroga bagnetujesz, robisz to, jakbyś chleb do pieca wsadzał!

Następne rotę jedna za drugą nie wytrzymały żadnej krytyki. Piętnastej i szesnastej zupełnie przeglądając nie chciał, mówiąc ze wstrętem:

— No... to jakieś dziwolągi.

Pozostawał jeszcze ceremonialny marsz. Cały pułk półrotami ustawiono w ściągniętej kolumnie. Żołnierze z chorągiewkami wystąpili, wskazując linię ogólnego marszu.

Upał był nie do zniesienia! Ludzie słabli od zaduchu, potu własnych ciał, ściśniętych na małej przestrzeni, od zapachu butów, machorki, brudnej skóry ludzkiej i strawionego czarnego chleba. Przed ceremonialnym marszem wszyscy nabrali otuchy. Oficerowie prawie zaklinali żołnierzy „bracia, postarajcie się przejść zuchowato przed komendantem i nie robić nam wstydu.” W tem zachowaniu się zwierzchników względem podwładnych było coś nieśmiałego, jakieś poczucie własnej winy. Jakgdyby gniew tak niedościgle wysokiej osobistości jak generał, nagle przygniótł jednakim ciężarem oficera i żołnierza, pozbawił ich indywidualności, czyniąc ich jednako wystraszonymi, zmieszanyimi biedakami.

— Pułk, ba-czno-ośé!.. Muzykanci na linię! — zawołał Szulgowicz.

Półtora tysiąca ludzi w jednej sekundzie głucho zaszemrało, a potem przycichło, nerwowo sztywniejąc.

Szulgowicza nie było widać! Rozlegał się tylko jego dźwięczny potoczysty głos.

— Pułk, broń na raaa-mię.

Czterech dowódców batalionowych, odwróciwszy się na koniach ku swoim oddziałom zakomenderowało chaotycznie:

— Batalion na ra!...

Z natężeniem wpili się wzrokiem w pułkownika.

Gdzieś z daleka przed pułkiem mignęła w powietrzu szabla; był to sygnał do wspólnej komendy, więc czterej batalionowi komendanci razem wykrzyknęli:

— ...mie!..

Pułk z głuchym szcękaniem nierówno podrzucił broń. Gdzieś zadźwięczały tempo bagnety.

Wtedy Szulgowicz, wyciągając przesadnie słowa, uroczyście, surowo, radośnie i głośno, z całych sił zakomenderował..

— Cere...mo...niał...ny ma-rsz!

Szesnastu rotnych komendantów na rozmaite głosy zawołało:

— Ceremonialny marsz!

Gdzieś w końcu kolumny jeden z rotnych, niedomawiając wyrazów wstydlivym głosem zawołał:

— Cerem...—i urwał zaraz resztę.

— Pół ro—t a-mi!—zaśpiewał prawie Szulgowicz.

— Półrotami—podehycieli rotni komendanci.

— Na dwa plutonowy dystans... — intonował Szulgowicz.—Na dwu plutonowy dystans—powtórzyli za nim.

— Równanie na prawo-o!

— Równanie na prawo-o... zawołał komendanci.

Szulgowicz przeczekał dwie, trzy sekundy i rzucił dorywczo:

— Pierwsza-a pół ro-fa-a!

Przebijając się przez ściśnięte szeregi, ścię-

łać się po ziemi, rozległa się na przodzie komenda Osadcze:

— Pierw-sza-a półrota! Równanie na prawo, wolno-marsz!

Zgodnie zabębniłi dobosze.

Widać było zdaleka, jak od pochyłego-lasu bagnetów odznaczyła się prawidłowa długa linia i równo zakolysała się w powietrzu.

— Druga półtora—prostol—usłyszał. Romaszow wysoki kobiecy głos Arszakowskiego.

Odchodząc, zakolysała się druga linia bagnetów.

Odgłos bębnow stawał się coraz głuchszym i cichszym, jakby ginał pod ziemią i nagle spadła nań, pochlaniając go, fala wesołej orkiestrowej muzyki. Pochwyciła ona tempo i cały pułk ożył.

Głowy podniosły się wyżej, wyprężyły się ciał, rozjaśniły znużone, szare twarze.

Jedna za drugą odchodziły półroty i za każdym razem żywszemi, radośniejszemi, bardziej podniecającemi stawały się dźwięki pułkowego marsza.

Oto odeszła półrota pierwszego batalionu.

Pulkownik Lech na kościstym karym koniu wraz z Olizarem posunęli się naprzód.

Obaj trzymali szable przed sobą.

Dała się słyszeć spokojna komenda Stelkowskiego.

Po nad bagnetami ukazały się wysoko sztandary.

Sliwa wyszedł naprzód — zgarbiony, zwiędły, wodnistemi oczami przyglądał się szeregom, podobny do dużej smutnej starej małpy.

— P... pierwsza półrota—prostol

Lekkim, zwinnym krokiem wychodzi Romaszow przed środek swej półroty.

Coś radosnego, pięknego, dumnego budzi się w jego duszy. Przebiega wzrokiem po twarzach pierwszego szeregu. „Stary rębacz sokolim wzro-

kiem zmierzył swych weteranów” przemknęło mu przez głowę, gdy sam ciągnął śpiewnie:

— Dru-uga—pół—ro-tal

„Raz, dwa!”—liczy w myślach Romaszow, trzymając takt czubkiem butów.

Uszczęśliwiony, zarzuciwszy głowę w tył, wykrzykuje dźwięcznym tenorem:

— Prostol

Obróciwszy się na jednej nodze jak na sprężynie, nie odwracając się dodaje o dwa tony niżej.

— Równanie na pra—wo!

Piękno chwili upaja go. Na sekundę zdaje mu się, że to muzyka otacza go falą takiego oślepiającego blasku i że dźwięki metalowe padają z góry, ze słońca.

Przebiega go rozkoszny dreszcz, dreszcz zachwyty.

Zgodnie w takt muzyki zakrzyczała piąta rota, odpowiadając na pochwałę generała.

Wyswobodzone od żywej przegrody ludzkich ciał, jakby zadowolone ze swobody, głośniejszej, wesołej popłynęły naprzeciw Romaszowa żwawe dźwięki marsza.

Przed oczami Romaszowa ukazał się naraz generał na bułanym koniu, nieruchoma jego świta za nim, a dalej różnobarwna grupa damskich sukien, które w oślepiającym blasku południa zdawały się bajecznymi płomiennymi kwiatami. Z lewej strony błyszczały złociste rozśpiewane trąby orkiestry! Podporucznik czuł, że między generałem a muzyką przeprowadzona jest niewidzialna czarowna nić, którą przekroczyć radośnie jest i straszno.

Pierwsza półrota już przeszła ową linię.

— Dobrze dzieci!—woła zadowolony generał.—Aaa!—podchwytną żołnierze uradowanymi głosami. Jeszcze głośniejsze słyhać muzykę. „O miły! z rozrzewnieniem myśli Romaszow o generale.—Mędrul!”

Podporucznik sam, lekko, spreżyście, zaledwie dotykając się ziemi, podchodzi do tajemniczej linii. Głowa jego, hardo w tył odrzucona, jest zwrócona jednocześnie z dumnym wyzwaniem na lewo.

Czuje się tak lekkim, tak swobodnym, jakby miał ulecieć. W poczuciu własnym, mając się za przedmiot ogólnego podziwu, za przepiękne centrum świata, Romaszow myślał o sobie cudownie rozmazony!

— Patrzcie, patrzcie, idzie Romaszow. Ocydam błyskają ku niemu z zachwytem. Raz, dwa, lewa!.. Przed półrotą z gracyą idzie młody, piękny oficer. Lewą! prawa! „Pułkowniku Szulgowiczu, wasz Romaszow zachwycający, chciałbym go mieć przy sobie jako adjutanta.” Lewa...

Jeszcze sekunda, jeszcze jedno mgnienie i Romaszow przechodzi przez czarowną nić. Muzyka brzmi szalonym, bohaterskim ognistym tryumfem. „Zaraz pochwali — myśli Romaszow i duszę jego ogarniają promienie szczęścia. Słychać komendanta korpusu, głos Szulgowicza, jeszcze czyjeś głosy...

Naturalnie generał pochwalił, ale dlaczego żołnierze nie odpowiadają? Ktoś krzyczy z szeregów... Co się stało?

Romaszow odwrócił się i pobladł. Cała jego półrotą zamiast dwóch prostych linii stała się straszna w kilku miejscach przelamana, w kilku ściśniętą gromadą. Stało się to dlatego, że podporucznik, upity swym zachwytem, płomienistymi marzeniami, nie zauważył, jak krok za krokiem przesuwiał się od środka na prawo i jednocześnie napierał na rotę, znalazłszy się nakoniec na jej prawym boku. Sprowadzał przez to zamęt i nieład w ogólnym ruchu wojska. Wszystko to Romaszow ujrzał i pojął w jedno krótkie mgnienie. Zobaczył również żołnierza Chlebnikowa, kulejącego o jakie dwadzieścia kroków za rotą przed oczami generała. Upadł i teraz pokryty kurzem doganiał swą półrotę, niz-

ko zgiąwszy się pod ciężarem amunicji, biegnąc jak na czworakach, trzymając jedną ręką karabin, a drugą ocierając nos.

Romaszowowi nagle zdało się, że słoneczny majowy dzień zciemniał, że na plecach jego legło jakieś martwe, nieznane brzemie, podobne do góry piasku, że muzyka gra smutno i głucho. Poczul się małym, słabym, nędznym, brzydkim, z ociężałościami ruchami i ciężko płaczącymi się nogami. Ku niemu leciał pędem pułkowy adjutant. Twarz Fjodorowskiego była czerwona i wykrzywiona ze złości. Dyszał z gniewu i szybkiego biegu. Już zdaleka zaczął wściekle krzyczeć, dusząc się słowami.

— Podporuczniku Romaszowie! Pułkownik gani was surowo! Na siedem dni... na odwach... w sztabie dyw... Skandal, paskustwo, cały pułk tak pohańbić!.. Smarkacz!

Romaszow nie odrzekł słowa, nawet głowy nie odwrócił. Cóż, naturalnie, on ma prawo się gniewać. Żołnierze słyszeli jak adjutant krzyczał na niego. „Ha, trudno, zasłużyłem, cóż robić!” z nieważnością do siebie pomyślał Romaszow. Wszystko przepadło dla mnie. Zastrzeleń się. Jestem na wieki shańbiony. Wszystko, wszystko skończyło się dla mnie. Jestem śmieszny, nic nie znaczący z bladą, lichą twarzą, najgorszą ze wszystkich. Wszystko przepadło — tak! Żołnierze idą za mną, patrzą na mnie, śmieją się, trącąc łokciami. A może żalują mnie? Już chyba stanowczo skończyć z sobą muszę. Półroty odchodziły dosyć daleko od generała. Jedną za drugą zawracały na lewą stronę i powracały na miejsce poprzednie t. j. na to, z którego wyszły. Tu je ustawiono w rozwinięty szczyk rotowy. Dopóki zbliżały się oddziały tylne, ludziom pozwolono stać swobodnie. Oficerowie zaś opuszczali swoje miejsca, aby z rękawa wypalić papierosa i nieco odpocząć. Romaszow pozostał na środku frontu na prawem skrzydle swojej półroty.

Gołą szablą ze skupieniem wiercił ziemię przy swoich nogach, a choć nie podnosił głowy, czuł, że ze wszystkich stron skierowane są ku niemu szydereze spojżenia.

Kapitan Sliwa przeszedł mimo Romaszowa. Nie zatrzymując się, nie patrząc na podporucznika, jakby do siebie mówiąc z powściągniętą złością, mruknął przez zęby:

— Dziś jeszcze... proszę podać raport o przeniesienie do innej roty.

Podszedł później Wietkin. W jasnych, do brych oczach, w kącikach jego ust, Romaszow podchwycił ten sam wyraz odrazy i litości z jakim ludzie patrzą na rozgnieczonego przez pociąg psa. Równocześnie Romaszow poczuł na swojej twarzy bezmyślny blady uśmiech.

— Pójdźmy na papierosa Jerzy Aleksiejewiczu — rzekł Wietkin. Cmoknął językiem, pokiwał głową i dodał z żalem:—Ech kochanku!

Podbródek Romaszowa zadrgał. W gardle zrobiło się gorzko i ciasno. Ledwo powstrzymując się od łkania, odpowiedział zdławionym głosem skrzywdzonego dziecka.

— Niechtam, nie, nie chcę.

Wietkin odszedł na bok. „Ot pójdę i uderzę Sliwę w twarz ni ztąd ni zowąd,“ pomyślał Romaszow. Albo podejść do generała i powiem mu wstyd ci, stareze, bawić się w żołnierzy i męczyć ludzi. Puść ich, niech odpoczną. Przez dwa tygodnie bito ich dla ciebie. Nagle przypomniał sobie niedawne swe dumne marzenie o zręcznym pięknym podporuczniku, o zachwyceniu dam, o błyszczącym w oczach generała zadowoleniu i owładnął nim taki wstyd, że cały się oblał rumieńcem.

Smiesznyś, bezczelny, zły człowiek, godny pogardy, w myśli powiedział sobie Romaszow. Dziś się zastrzele.

Przegląd się skończył. Generał, złagodniawszy, kilka razy pochwalił żołnierzy. Było koło godziny czwartej. Pułk zatrzymał się i ludziom kazano stać swobodnie.

Sztabowy trębacz zatrąbił, przyzywając dowódców.

— Panowie oficerowie do generała — rozległo się po szeregach.

Oficerowie zwartem kołem otoczyli generała. On siedział na koniu zgarbiony, pochylony, jakby był silnie zmęczony. Jego rozumne, nieco zmrużone oczy żartobliwie, żywo patrzyły przez złote okulary.

— Będę zwięzły — rzekł generał. — Pułk nie nie wart. Obwiniam dowódców. Kiedy jest kiepski woźnica, konie źle idą. Nie troszczycie się panowie o ludzi. Pamiętać nam trzeba, że szczęśliwy ten, kto duszę oddaje za swoich przyjaciół. Kierujecie się panowie jedną myślą: dogodzić zwierzchności na przeglądzie. Ludzie pomęczeni, oficerowie z wyglądem zdziechałym. Zresztą o tem wszystkim przeczytacie w moim rozkazie. Jeden z podporuczników, zdaje się z 6-ej czy z siódmej roty, zrobił z niej jakiś chaos! Wstyd. Nie żądam niczego, prócz pewności oka i spokoju. To grunt.

— O mnie mówi, — z przerażeniem pomyślał Romaszow. Zdało mu się w tej chwili, że wszyscy patrzą ku niemu, ale nikt się nie ruszył. Wszyscy stali ponurzy i milczący, nie spuszczać oka z twarzy generała.

— Komendantowi piątej roty mojej najwyższe podziękowanie—mówił komendant korpusu.—Gdzież pan, panie kapitanie.—A! — Generał teatralnym ruchem uniósł obydwojma rękami czapkę nad łusą głową i nisko ukłonił się Stelkoskiemu.

— Raz jeszcze dziękuję panu i z radością ściskam dłoń pańską. Da Bóg, gdy przyjdzie memu korpusowi walczyć kiedykolwiek, powierzę panu

najtrudniejsze zadanie. Jesteście wolni, panowie. Rad was zobaczą kiedyindziej, ale w innym ładzie. Raczcie przepuścić konia.

— Jwp. generale, ośmielam się prosić pana na obiad do naszego klubu—rzekł Szulgowicz.

— Ech po co!—sucho odparł generał. — Unieście dziękuję. Jestem zaproszony do hrabiogo L. Rozsunęli się i generał popędził ku pułkowi.

Zołnierze bez komendy stali cicho.

— Dziękuję N-cy!—twardym, serdecznym głosem rzekł generał. Daję wam dwa dni wypoczynku. A teraz... — wesoło podniósł głos — do namiotów marsz... hurra! Zdawało się, krótkim tym wykrzykiem poruszył odrazu cały pułk. Z ogłuszającą radością rzuciło się półtora tysiąca ludzi w różne strony, aż ziemia zahuczała pod ich nogami.

Romaszow odłączył się od oficerów, gromadą wracających do miasta i poszedł dalszą drogą przez obóz. Poczul się w tej chwili jakimś nędznym odszczępińcem, odtraconym z koła rodziny pułkowej obcym, dla wszystkich niemiłym, występnyim chłopcem, a nie dorosłym.

Kiedy przechodził po za namiotami swej rotę, czyjś zduszony krzyk zwrócił jego uwagę. Zatrzymał się i w przejściu między namiotami ujrzał swego feldfebla Ryndę małego, apoplektycznego, tęgiego człowieka, który wymyślał i bił Chlebnikowa. Chlebnikow miał zmieszany, ponury wyraz twarzy, a w oczach widniał zwierzęcy przestach. Głowa jego trzęsła się to w jedną, to w drugą stronę. Za każdym uderzeniem słyhać było klaskanie szczęk.

Romaszow szybko się oddalił. Nie miał siły ująć się za Chlebnikowem. W tejsze chwili odczuł

rozpaczliwie, że jego własny los i los tego nieszczęsnego zamęczanego żołnierzyka są sobie dziwnie pokrewne i dziś splotły się w smutną jedność, jak gdyby byli obaj kalekami, cierpiącymi na jedną i tę samą chorobę, która wzbudzała odrazę. Ta świadomość podobieństwa wzniewiała w podporuczniku kołający wstyd, było w niej jednak i coś niezwykle głębokiego, szczerze ludzkiego.



## XVI.

Z obozu do miasta wiodła tylko jedna droga, przez plant kolejowy, który w tem miejscu opadał stromo na głęboki rów! Romaszow wąską ścieżką zbiegł na dół i zaczął następnie z mozolem wdrapywać się na drugą stronę. Kiedy był w połowie drogi, ujrzał na przeciwległej stronie kogoś, stojącego na wierzchu w kitlu i narzuconym szynelu. Zatrzymawszy się na kilka sekund, przymrużył oczy i poznał Nikołajewa.

Coś go tehnęło: „będę miał zajście“ — pomyślał. Czuł niepokój, trwogę, mimo to jednak wstępował na brzeg.

Oficerowie nie widzieli się od pięciu dni, te raz nie przywitani się przy spotkaniu, w czem Romaszow nie dostrzegł nawet nie nadzwyczajnego, jakgdyby podobne przywitanie nastąpić między nimi musiało w tym właśnie, tyle smutnym dla niego, dniu. Nie oddali sobie wcale zwykłego ukłonu przez przyłożenie rąk do czapek, nie skinęli sobie nawet głowami.

— Umyślnie czekałem tutaj na pana, Jerzy Nikołajewiezu — rzekł Nikołajew, patrząc przez ramię Romaszowa gdzieś, w dal jakby na obóz.

— Jestem na wasze usługi Włodzimierzu Efi-

mowiczu,—z udaną naturalnością, acz głosem drżącym odparł Romaszow.

Schylił się, zerwał zeszlóroczną trawę i począł ją w roztargnieniu przeżuwać. Jednocześnie przyglądał się odbiciu swej postaci w guzikach szynela Nikołajewa.

— Nie zatrzymam was długo — rzekł Nikołajew. Wymawiał wyrazy jak człowiek gwałtowny; rozgniewany, a pragnący być powściągliwym. Ponieważ rozmowa z unikaniem patrzenia na siebie, stawała się trudną, Romaszow rzekł:

— Może pójdziemy?

Kręta ścieżka wydeptana przerzynała duże pole buraczane. Zdala widać było białe domki i czerwone ceglane dachy miasta. Oficerowie szli obok siebie przez gęstą zieleń pola, ustępując jeden drugiemu miejsca. Przez chwilę milczeli. Wreszcie Nikołajew, odchrząknawszy, przemówił pierwszy.

— Muszę pana najprzód zapytać, czy masz pan należyty szacunek dla mojej żony... Aleksandry Piotrówny?

— Nie pojmuję pana — odrzekł Romaszow. — Zapytuję ze swej strony...

— Pozwól pan—gorączkowo w rozdrażnieniu rzekł Mikołajew. — Będziemy zapytywać się po kolei. Inaczej nie dojdziemy do porozumienia. Mówmy szczerze, otwarcie. Najprzód, powiedz mi pan, interesują cię cośkolwiek plotki o niej chodzące, to co o niej mówią, słowem jej reputacya? Zaczekaj pan, nie przerywaj. Spodziewam się, niezaprze-czysz pan, że od nas prócz dobra nie złego nie znałeś. Byłeś pan uważany jak krewny.

Romaszow stąpnął w pulchną ziemię, potknął się i zamrzedł.

— Wierz mi pan, zawsze będę wam mocno obowiązany.

— Nie o to chodzi. Nie pragnę pańskiej wdzięczności — rozgniewał się Nikołajew. — Chcę

tylko powiedzieć, że moją żonę obmawiają.—Nikołajew oddychał z trudnością, ocierając twarz chustką co chwila.—Słowem... pan jesteś w to wmieszany. Moja żona i ja otrzymujemy codzień ohydne anonimy. Nie będę ich pokazywał, brzydzę się tem. W tych listach pisać... — Tu Nikołajew zatrzymał się na mgnienie.—Piszą do dyabła żeście kochankiem mojej żony, że, co za nieczemność... i t. d. macie schadzki, cały pulk wie o tem... Podłość!

Zagrzytnął zębami i splunął.

— Wiem kto to pisał, — odparł Romaszow, odwracając się od Nikołajewa.

— Wiecie? — zawołał, chwytając Romaszowa za rękaw.

Wolowe jego oczy rozszerzyły się, twarz zciemniała w ustach ukazała się piana. Krzyknął wściekle, zbliżając twarz do twarzy Romaszowa.

— Jeśli pan wiesz, jakże możesz milczeć — wybuchnął. — Waszym obowiązkiem, jako porządnego człowieka jest położyć temu tamę, słyszysz, donżuanie pułkowy, jeśli jesteś uczciwym, a nie jakiś chlys...

Romaszow zbladł, patrząc z nienawiścią na Nikołajewa. Nogi i ręce poczęły mu drżeć, głowa zrobiła się lekka, serce tłukło się boleśnie, wstrząsając całym ciałem.

— Proszę na mnie nie krzyżeć—wyrzekł głucho Romaszow.—Mów pan przyzwoicie, ja nie pozwolę na siebie krzyżeć.

— Bynajmniej nie krzyżeć, — grubiańsko, acz zniżając nieco ton, odrzekł Nikołajew.—Ja tylko przekonywam pana, choć miałbym prawo żądać, do czego upoważniają mnie nasze stosunki. Jeśli panu cokolwiek zależy na reputacji mojej żony, to powinieś pan wstrzymać plotkowanie.

— Dobrze, zrobię wszystko, co będę mógł, — odpowiedział sucho Romaszow.

Obrócił się i poszedł środkiem ścieżki. Niko-

łajew, biegnąc doń, zawołał łagodnie z odcieniem zmieszania.

— Nie gniewajcie się. Skoro raz zaczęliśmy, musimy sobie wszystko wypowiedzieć. Nieprawdaż?

— Tak—półpytająco rzekł Romaszow.

— Sam pan uważałeś, z jaką sympatyą byliśmy oboje dla pana. Wiesz pan, że w małym miasteczku nie ma gorszego nad plotkowanie.

— Dobrze. Przestanę u was bywać — odparł smutno Romaszow. — Wszak o to zapewne panu chodzi? Sam to już zresztą postanowiłem. Przed kilku dniami wpadłem na pięć minut oddać książkę. Upewniam pana, było to po raz ostatni.

— Tak, wiem—rzekł Mikolajew i zmieszany zamilkł.

Oficerowie skręcili ze ścieżki. Do miasta było jeszcze ze trzysta kroków. Obaj szli obok siebie, nie patrząc na się. Położenie z każdą minutą stawało się fałszywszem i bardziej napężonem. Przy pierwszych domach miasta Nikołajew wsiadł do napotkanej dorożki.

— Tak, więc bądźcie zdrowi, Jerzy Aleksiejewiczu.—Nie podali sobie ręki, tylko się wzajemnie salutowali.

Romaszow patrzył na znikającego w obłokach kurzu Nikołajewa, czując się nagle samotnym, opuszczonym, jakby odejętym do życia.

Zwolna skierował się ku domowi. Hajnan wyszedł naprzeciw niego, uśmiechając się przyjacielsko. Zdejmując palto z poręcznika, cały czas zdradzał zadowolenie, drepcąc na miejscu.

— Wasza cześć nie jadł obiadu?—spytał poufale—Pobiegnę do klubu i przyniosę obiad.

— Idź do dyabła — wrzasnął Romaszow. — Wynos się i nie waz wchodzić do mego pokoju. Ktokolwiek będzie pytał, nie ma mnie w domu, choć by to był sam cesarz!

Legł na łóżku, głowę ukrył w poduszce, wpoił

się w nią zębami. Palily go oczy, coś okrutnego ścisnęło krtań; pragnął zapłakać, pragnął gorąco lkań, przynoszących ulgę.

Umyślnie cały miniony dzień przywoływał wyobraźnią wszystkie niszczęścia, które go spotkały, ale lzy nie przychodziły.

Zrobiło się z nim potem coś dziwnego. Zdało się Romaszowowi, że wcale nie spał, nie drzemał nawet, lecz przez moment leżał z otwartymi oczami bez uczucia, bez myśli. Zbudził się z tego odrętwienia, dodając sobie otuchy. W pokoju było już ciemno. Okazało się, że chwila stępienia trwała całe pięć godzin.

Zachciało mu się jeść. Wstał, założył szablę, narzucił szynel i poszedł do klubu, który się znajdował o dwieście kroków. Romaszow chodził do klubu nie ulicą, ale bocznicami, położonemi wśród ogrodów i parkanów.

W jadalni, w sali bilardowej i w kuchni jarzyło się światło, rzucając odblask na podwórze, które zdało się w tem świetle brudniejszym, nędzniejszym, niż było w istocie. Okna były pootwierane. Po przez nie dolatywały rozmowy, śpiewy i stuk kul bilardowych.

Podporucznik już był koło tylnej oficyny i nagle zatrzymał się, złowiwszy uchem rozdrażniony, szyderczy głos kapitana Sliwy. Znajdując się o dwa kroki od okna, dostrzegł przez nie swego wodźcę.

— Cała rota idzie jak jeden — az, az, az! — mówił Sliwa, podnosząc to opuszczając dłoń, a to jedno jakby na złość, — o! o! jak kozioł — Tu komendant parę razy utknął palcem w powietrzu. — To też bez ceremonii mu powiedziałem: zecheiej łaskawco przejść do innej roboty. Byłoby lepiej zupełnie z pułku wystąpić. Cóż z pana do dyabła za oficer? Ot, wykrzyknik jakiś!

Romaszow przymrużył oczy i skurczył się. Wy-

dało mu się, że jeśli ruszy się tylko, wszyscy spojrzą na niego. Bez ruchu postął minutę, czy dwie, potem, starając się nie oddychać, chyłkiem przeszedł pod ścianą i, szybko przebiegłszy oświetloną ulicą, co prędzej ukrył się w cieniu sterującego plotu.

Długo tego wieczoru krążył Romaszow po mieście, obierając najmniej ludne i ciemne ulice, nie wiedząc nawet po jakich błąka się. Naraz zatrzymał się przed domem Nikolajewych, dziwnie odbijającym swemi białemi ścianami i zielonkowatym dachem do ciemności.

Za ciemno-czerwonemi firankami paliła się lampa. — „Najdroższa, czyż ty nie czujesz, jak mi smutno, jak cierpię, jak cię Kocham” — wyszeptał Romaszow, robiąc płaczący wyraz twarzy i mocno cisnąc pierś rękoma.

Przyszło mu na myśl, kazać Aleksandrze odczuć go z oddali. Wtedy, ścisnąwszy dłonie swe aż do bólu, a potem głowę, zaczął w najwyższym naprężeniu mówić, namiętnie wyrażając swą wolę: — Spójrz w okno. Wstań z kanapy i spójrz w okno. Wyrzyj, wyrzyj, wyrzyj. Czy słyszysz, rozkazuję ci natychmiast podejść do okna.

Ale firanki nie drgnęły.

— Nie słyszysz mnie! — z goryczą wyszeptał: — Siedzisz koło niego, przy lampie, jesteś spokojna, obojętna i piękna. Och, Boże mój, Boże jakże jestem nieszczęśliwy.

Westchnął i zmęczony poszedł dalej.

Przechodził koło mieszkania Nazańskiego, ale tam było ciemno. Chwilowo Romaszow miał wrażenie, że w ciemnym pokoju ktoś biały chodzi, ale nie zdecydował się, zdjęty jakimś lękiem, wywołać Nazańskiego.

W parę dni, Romaszow przypomniał sobie, jakby jakieś dalekie senne widzenie, owe błąkanie się po mieście. Trudno byłoby mu powiedzieć ja-

kim sposobem znalazł się przy ementarzu żydowskim, który znajdował się za miastem na wzgórzu. Był pełen zimnych, jednakowych kamieni, ponad którymi wisiała mierzająca ciemność przestworów i poważnie królowała samotność. Ujrzał się później na drugim końcu miasta. A może to był sen tylko? Stał na środku długiej wybudowanej tamy, szeroko przecinającej Bug. Senna woda leniwie kołysała się pod jego nogami, monotonnie uderzając o ziemię, a księżyc milionami światełek zalamywał się w pomarszczonej powierzchni, i zdało się, że to miliony srebrnych rybek igrają w wodzie, płynąc wązkim przesmykiem ku przeciwnemu brzegowi, pustce.

Pamiętał silny, słodki zapach akacyi rozkwitłej.

Dziwne myśli pętały go w ową noc—smutne, to rozpaczliwe, to śmieszne. Najczęściej, zdało mu się, jak niedoświadczonemu graczowi, że w istocie nie było okropnego, że piękny porucznik Romaszow doskonale spełnił służbę podczas ceremonialnego marsza przed generałem, zasłużył na ogólną pochwałę, a teraz wraz z innymi znajduje się w jadalni oficerskiego klubu, śmieje się i pije z innymi wino czerwone.

Za każdym razem jednak stawał w pamięci Fiedorowski, wymyślanie, oburzenie adjutanta, a potem rozmowa z Nikolajewem. Wtedy podporucznik znowu czuł się głęboko zhańbionym i nieszczęśliwym.

Jakiś wewnętrzny instynkt sprowadził go ponownie na miejsce, w którym się rozłączyli z Nikolajewem. Romaszow myślał wtenczas o zabójstwie, ale myślał bez stanowczości i bez strachu z jakimś egoistycznym rozmiłowaniem w sobie. Zwykła fantazya podporucznika rozwinęła cały obraz okropności takiej minuty i upiększyła plastycznymi bardzo obrazami.

„Oto Hajnan wybiegł z jego pokoju, wybiegł

przerazony i trzęsąc się błądy wpada do klubu, do jadalni przepełnionej oficerami. Wszysey machinalnie powstają ze swoich miejsc, ujrawszy żołnierza.

„Wasza cześć... podporucznik... zastrzelił się!“ ledwo oddychając mówi Hajnan. Ogólne przygnębienie, zamieszanie. Z oczu wszystkich bije przestrah. „Kto i gdzie zabił się? Jaki podpułkownik?“ „Panowie to deńszczyk Romaszowa!—ktoś poznaje Hajnana—To jego Czeremis“.

Wszysey lecą do mieszkania, niektórzy bez czapek, Romaszow leży na łóżku. Kaluża krwi na podłodze i rzucony rewolwer Smitha et Wessona... Przez tłum oficerów przediera się doktor pułkowy Znajko.

— W skroń—mówi cicho—wszystko skończono. Ktoś mówi półgłosem: „Panowie, zdejmcie czapki!“ Wielu się żegna. Wietkin znajduje na stole kartkę i czyta ją głośno. „Żegnam wszystkich, umieram z własnej woli. Dajcie znać o śmierci matce. Życie za ciężkie i za smutne było dla mnie. Jerzy Romaszow“.

Wszysey obrzucają się spojrzzeniami i czytają w nich niespokojną fatalną myśl „to my zabójcami tego biedaka!“

„Łagodnie kołysz się trumna na ramionach ośmiu przyjaciół. Oficerowie postępują w ślad za nią. Za nimi szósta rota. Kapitan Sliwa zachmurzony, poważny. Twarz Wietkina napuchła od łez, teraz na ulicy wstrzymuje się od nich. Łbow płacze, nie ukrywając swego bólu, miły, dobry chłopiec. Dźwięczy rozelkany żałobny marsz. Są i pannie z pułku, jest i Aleksandra. „Całowałam go—myśli z rozpaczą,—kochalam! Mogłabym go powstrzymać, uratować!“ Zapóźno—w myślach odpowiada jej z gorzkim uśmiechem Romaszow. — Oficerowie rozmawiają cicho pomiędzy sobą. „Och jakże szkoda biedaka! Był dobrym kolegą, dobrym oficerem! Tak... nie rozumieliśmy go“. Żałobny marsz lka

coraz silniej. Dzieło Beethovena „Na śmierć bohatera”. A Romaszów leży w trumnie bez ruchu, chłodny z uśmiechem na ustach. Do piersi przypięty ma skromny bukiet fijołków, nikt nie wie, kto je ofiarował. Darował wszystkim i Aleksandrze i Sliwie, Fiedorowskiewu i komendantowi korpusu. Niech go nie żalują. Za czystym, za pięknym był dla tego życia! Tam będzie mu lepiej. Lzy zakreśliły się w oczach Romaszowa, nie wycierał ich. Tak było mu miło wyobrażać siebie oplakany, niesprawiedliwie osądzonym!”

Szedł przez buraczane pole. Szerokie liście wily się pod nogami.

Przestworza blaskiem księżycy przepojone, jakby przygniatały podporucznika. Romaszów wszedł na nieduży wał i stanął nad torem kolejowym spadzisto ciągnącym się w dal.

Cała ta strona była pogrążona w cieniu, na drugą padało bladawe światło i zdało się, że w tem świetle każdą trawkę można rozróżnić. Wykop podobny był do tunelu, w środku niego położone rowy pobłyskiwały od promieni księżycy. Za wałem, po drugiej stronie wykopu widoczne były rzędy białych namiotów.

Nieco niżej, koło wału, ciągnął się niewielki jar. Romaszów spuścił się na dół i usiadł na trawie. Z głodu i ze zmęczenia czuł mdłości. Drżał przytem. Ogromne puste pole po za nim, wykop w półświatle i w półcieniu, smutek przestrzenny, perlista rosa na trawie, wszystko było przeniknięte tajemną ciszą. Od czasu do czasu rozdzierał powietrze świst parowozów, manewrujących na stacyi i ten świst miał w sobie coś trwożnego.

Romaszów położył się na wznak. Białe leki obłoczki sunęły zwolna po niebie, nad niemi księżyc płynął nieznanie.

Zdało się, że cały przestwór milczący, pusty, wypełniała jedna rozpacz, jeden strach, jeden ból.

„Tam—Bóg!” pomyślał Romaszów, i nagle, porwany gwałtownym żalem nad samym sobą, zaszeptał z goryczą:

— Boże! Czemu odwróciłeś się odemnie? Ja mały, nędzny, słaby pyłek, co Ci złego zrobiłem, o Boże! Wszystko możesz uczynić! Jesteś dobry, wszystko widzisz, czemużes wobec mnie niesprawiedliwy?

Przeląkł się własnej naiwności, więc zaszeptał gorąco:

— Nie, nie, wybacz mi! Nie będę więcej.— Tu dodał z pokorą:—czyni ze mną wszystko, co ci się podoba. Zdaję się na Twoją wolę.

Mówiąc tak, myślał jednocześnie, że jego pokorność wzruszy Wszech Pana, a wtedy stanie się nagle cud, od którego fatalne dziś zamieni się w jedną wielką radość, pozostanie straszmem widzeniem.

„Gdzieś ty tutaj?” Gniewliwie zastukotał pociąg a drugi niskim tonem odparł.

„Ja do wa-as!”

Coś zasyczało na drugiej stronie wykopu.

Romaszów uniósł głowę, aby lepiej widzieć przebiegające pociągi.

W tej chwili oczy jego przykute zostały do jakiegoś szarego, nieforemnego cienia, niewiele podobnego do człowieka. Cień schodził na dół ledwo dostrzegalny w mętnej świetle i przeszedł szyny.

„Bodaj żołnierz?—przemknęło Romaszowi przez myśl.—W każdym razie jakiś człowiek. Ale tak iść może tylko lunatyk albo pijany. Któż to?”

Szary człowiek przeszedł szyny i ukrył się w cieniu. Tak, poznał Romaszów żołnierza. Żołnierz powoli wchodził na wykop, ginąc na chwilę z oczu Romaszowa. Po paru minutach dojrzał go znów. Zstępował teraz wolno po spadzistej stronie.

Mętne światło padało prosto na jego twarz.

Podporucznik w idącym poznał swego żołnierza — Chlebnikowa. Szedł bez czapki, trzymając ją w ręku, z wyrazem oczu bez życia. Zdawało się, że idzie pchany wewnętrzną, tajemniczą siłą. Przeszedł tak blisko koło oficera, że prawie dotknął go połą swego szynela.

— Chlebnikow, to ty?—zawołał na niego Romaszow.

— Ach!—krzyknął żołnierz i zadrżał z przerażenia.

Romaszow podniósł się. Ujrzał przed sobą martwe, zeszecone oblicze, pokrwawione i pobite. W półmroku nocy ślady znęcania się miały jeszcze straszniejszy wyraz. Patrząc na Chlebnikowa, Romaszow pomyślał: oto człowiek, który wraz ze mną fatalnie znalazł się podczas parady. Obaj jesteśmy nieszczęśliwi.

— Dokąd ty idziesz, co się z tobą dzieje? — zapytał go łagodnie Romaszow, mimowoli położywszy obie ręce na ramionach żołnierza.

Chlebnikow spojrzał na niego zmieszany dziwkim wzrokiem, ale w tejże chwili odwrócił się. Wargi mu drgnęły, cicho jęknął.

Romaszowa ogarnęło wrażenie, jakie się ma przed omdleniem.

— Bili cię? Tak? Powiedz. Siadź koło mnie.

Pociągnął Chlebnikowa za rękaw. Żołnierz niby manekin drewniany osunął się na ziemię obok podporucznika.

— Gdzieś ty szedł?—zapytał Romaszow.

Chlebnikow miledzał, siedząc z wyprężonymi nogami. Romaszow dostrzegł jak głowa żołnierza zwolna pochyła się na pierś.

Usłyszał ponowny jęk, który ścisnął mu boleśnie serce.

— Chciałeś uciekać? włóż czapkę. Słuchaj, Chlebnikow, ja teraz nie jestem twoim naczelnikiem, jestem także nieszczęśliwy, zgnębiony, zbity czło-

wiek, jak i ty. Rozpacz cię ogarnia? Pomów ze mną. Może chciałeś sobie życie odebrać? — pytał Romaszow rwanym szeptem.

Chlebnikow coś zamruczał i umilkł. W tej chwili podporucznik zauważył, że żołnierz drży. Na mgniemie oficer przeraził się.

Bezsenność, gorączkowa noc, poczucie samotności, matowy odbłask księżycy, czerniejący wykop w oddali, obok niego znękany człowiek, wszystko to wydało mu się czymś bez sensu, jakimś snem ludzi ostatniej nocy z przed końca świata. Nagle porwało Romaszowem uczucie zapomnienia o sobie, oddania się cudzej niedoli, cudzemu bólowi. Pochylił się nad żołnierzem, objął go za szyję i rzekł cicho z gorącą serdecznością człowieka, którego los lepszym jest w porównaniu z losem tego nędzarza.

— Chlebnikow, twoje życie straszne i moje także prawie. Nie rozumiem nic z tego, co się na świecie dzieje. Wszystko, to jakaś dzika, okrutna igraшка! Ale trzeba cierpieć, trzeba...

Opuszczona głowa Chlebnikowa opadła nagle na kolana oficera. Żołnierz, objawszy silnie rękami nogi podporucznika, przywarł do nich ustami, zatrząsł się i zalkał.

— Nie... mogę... dłużej... nie mogę ja, panie, więcej... O, Boże... Bija, wyszydzą... feldfelbel żąda pieniędzy... Zkądże wezmę? Jestem chory, bo oderwany od dziecka... Och Boże mój, Boże!

Romaszow pochylił się nad głową, która trzęsła się u jego kolan. Poczul odór brudnego schorowanego ciała, niemytych włosów, szynela przepoczonego, którym okrywali się żołnierze podczas snu.

Rozpacz, żal, przerażenie obłędne, niepojęta głębia bólu targnęła sercem podporucznika, zmięła go, przygniotła.

Pochylił się jeszcze niżej nad żołnierzem i rzekł cicho:

— Bracie mój!

Chlebnikow porwał za dłoń Romaszowa i płacząc, ucałował ją.

Oficer, nie usuwając dłoni swej z rąk nędzara-żołnierza mówił do niego ze wzruszeniem, uspakajał tak, jak dorosły uspakaja małe dziecko.

Potem sam odprowadził go do obozu.

Wywołał dyżurnego podoficera Szapowalenkę. Ten wyszedł w białym, ziewając i drapiąc się.

Romaszow natychmiast rozkazał zwolnić z dyżuru Chlebnikowa. Szapowalenko próbował się sprzeciwić.

— Bez rozmów! — ryknął na niego rozwścieczony Romaszow. — Powiesz jutro komendantowi rotę, że ja tak kazałem!... Więc przyjdiesz jutro do mnie? — spytał łagodnie już Chlebnikowa, na co ten odpowiedział mu dziękczynnym spojrzeniem.

Romaszow zawrócił z powrotem. Przechodząc koło jednego namiotu usłyszał jak ktoś opowiadał bajkę:

„I oto posyła dyabeł do tegoż żołnierza największego ze swoich cesarodziei...”

Romaszow znów poszedł do wykopu. Bezmyślność życia ciążyła mu. Stał na wale, podniósł oczy do góry. W przestworzach, jak przedtem, panowała cisza, a w niej drżało jakby przerażenie. Podporucznik, nagle, podniósłszy ręce, grożąc niebiosom, szatańskim głosem zawołał.

— Ty! Oszuście stary! Jeśli możesz cośkolwiek, uczyni tak, abym złamał bodaj nogę!

Przymknąwszy oczy pędem zbiegł z wału, przeskoczył przez szyny i nie zatrzymując się wleciał na przeciwną stronę. Nozdrza miał rozdęte. Pierś dyszała, szybko się wznosząc, to opadając. Duszę jego wypełniała hardość, jakaś pycha szatańska.

## XVII.

Od tej nocy w Romaszowie nastąpił głęboki duchowy przełom.

Zaczął usuwać się od towarzystwa oficerów, stołował się w domu, nie ukazując się zgoła nigdzie, ani na wieczorkach proszonych, ani w Kasynie i przestał pić. Zrobił się starszym, poważniejszym w ostatnich czasach, obojętnym na wszystko: Często z tego powodu przypominał sobie śmieszne słowa: że życie człowieka dzieli się na jakieś „liustry“, to jest przełom co lat siedem, w którym to okresie, w człowieku zmienia się do niepoznania, skład krwi i ciała, myśli jego, uczucia i charakter. Romaszow skończył wtedy lat dwadzieścia jeden.

Chlebnikow zaszedł do niego w jakiś czas. Potem zaczął bywać częściej. Z początku robił wrażenie często bitego psa, potem dał się ugłaskać. Powoli serce oficera, dobroć i uprzejmość jego zyskały zupełne zaufanie żołnierza. Romaszow bardzo ostrożnie zapytywał go o szczegóły jego życia. W domu pozostawił matkę z ojcem pijakiem i z synem półdyotą, oraz czterema nieletnimi dziewczętami. Ziemię zabrała im gmina, dając z litości brudny kąt, w jakiejś ciemnej izdebce. Starsi pracują u obcych ludzi, młodzi chodzą po prośbie. Pie-

niędzy Chlebnikow z domu nie dostaje, zaś na roboty go nie biorą z powodu wątłego zdrowia. — Z tego powodu miał ciężkie życie i ciągły niedostatek. Nie mając pieniędzy na codzienne swoje wydatki, z pensją żołnierską 22 i pół kop, na miesiąc, które idą na podarki dla zwierzchników, niewesołe miał chwile życia. Bity, wyśmiewany i przeznaczany do nieprzyjemnych posług, stał się ponurym, małymownym.

Romaszow zaczął pojmować, że los codziennie zbliża go z setkami takich Chlebnikowów, z których każdy cierpi własnym bólem, cieszy się swoją radością, ale wszyscy wyzuci są z indywidualności i przybici ciemnotą, niewolnictwem, obojętnością zwierzchników, samowolą, przemocą.

A najstraszniejszą była myśl, że nikt ze starszyzny ani on, Romaszow, nie pomyśleli dotąd, że tacy szarzy, nędzni Chlebnikowowie, ze swemi bezmyślnymi, pokornymi twarzami, są istotnie żywymi ludźmi, nie zaś manekinami zwanymi: rotą, batalionem, pułkiem.

Romaszow co mógł, robił dla Chlebnikowa, by mu dostarczyć małego zarobku. W rocie zauważyli to, Romaszow spostrzegł nawet, że w jego obecności podoficerowie zwracali się do Chlebnikowa z przesadną, szyderską grzecnością, dobierając słodkich tonów. Zdaje się, że wiedział też o tem kapitan Sliwa, dając to do poznania i mruczając nieznacznie. — O patrzcie, znaleźli się „liberalowie”. Psują rotę. Zamiast ich bić, w pieszczoty się bawia.

Romaszow, będąc sobie oddanym, wszystko analizował, i coraz częściej przychodziły mu do głowy zawikłane myśli, w rodzaju tych, które nim wstrząsnęły w dzień jego aresztu. Zdarzało się to wtedy, gdy był o zmroku na służbie, kiedy to przechadzał się po ogrodzie między drzewami drzemiacami, i samotny, smutny, przysłuchiwał się brzęcze-

niu owadów i patrzył na spokojne, różowawe, ciemniejące niebo.

To nowe wewnętrzne życie zadziwiała go. Dawniej nie przypuszczał, ile głębokiego zainteresowania kryje się w tak prostej, zwyczajnej, rzeczy, jaką jest myśl ludzka.

Teraz postanowił wyjść z armii zaraz po ukończeniu obowiązkowych lat, które odsłużyć musiał za otrzymaną naukę w szkole wojskowej. Lecz co będzie robił jako cywilny — pomyślał. Po kolei zrobił przegląd wszelkich zawodów, myślał zostać urzędnikiem kolei, akcyzy, handlowcem, rządcą majątku ziemskiego, wstąpić do departamentu. Tu zawahał ze zdumieniem, jakim różnorodnym zajęciom i zawodom oddają się ludzie. „Zkąd biorą się — myślał — takie brudne, śmieszne, niedorzeczne specjalności. Z jakich powodów i jakimi drogami powstał stróż więzienni, akrobaci, operatorzy, kuglarze, prostytutki, kaci, żandarmi, konowały, grabarze, pedle, aktorzy? Czy też nie ma ani jednego, najbardziej marnego, wypadkowego, kapryśnego samowolnego, występnego ludzkiego pomysłu, któryby nie znalazł natychmiast sługi i wykonawcy?

Po głębszym namyśle dziwiło go też, że ludzie tak mało mają zaufania do uczciwości. Na cóżby inaczej potrzebni byli: pracownicy kantorowi, buchalterzy, urzędnicy, policya, komora, kontrolerzy, inspektorzy, nadzorecy, gdyby ludzkość była doskonała?

Myślał także o księżach, lekarzach, nauczycielach, adwokatach, sędziach o wszystkich tych ludziach, których rodzaj zajęcia zmusza do stykania się z duszami, myślami i cierpieniami innych. I Romaszow dochodził ze zdumieniem do wniosku, że ludzie tej kategorii prędzej od innych pogrążają się i grzęzną w zimnej formalistyce, i haniebnie obojętnieją na wszystko. Wiedział że istnieje jeszcze jedna kategoria ludzi a mianowicie: inżynierów, ar-



chitektów, wynalazców, fabrykantów. Ale oni aczkolwiek mogliby uczynić życie ludzkie pięknem, hołdują li tylko bogactwu. Drżąc o własną skórę, ze zwierzęcą miłością do potomstwa i legowiska swego, boją się życia, żywiąc tchórzliwe przywiązanie do pieniędzy. Któż wreszcie zajmie się losem Chlebnikowa, nauczy go i powie: „Daj mi rękę twoją, bracie“.

W ten sposób Romaszow coraz głębiej zastanawiał się nad zjawiskami życia. Dawniej wszystko wydawało mu się tak prostem. Ludzkość dzieliła się na dwie połowy: jedna mniejsza, to oficerowie. Otacza ich siła, władza, czarodziejski mundur a wraz z nim waleczność, sprawność fizyczna, dumna pyszałkowata, druga—ogromna i bezosobista—to cywilni, czyli *szpaki, jarząbki*; tych lekceważono. Uchodziło za waleczność pobić cywila, zapalonego papierosa zagasić o jego nos, lub wbić mu cylinder na oczy. O takich czynach bohaterskich jeszcze w szkole junkrów opowiadano sobie z zachwytem. Oto teraz Romaszow zaczął pojmować, że cała służba wojskowa jest wytworem okrutnego, haniebnego, wszechludzkiego nieporozumienia. Jak może istnieć stan taki—pytał sam siebie Romaszow—którego członkowie w czasie pokoju nie przynoszą korzyści najmniejszej, jedzą cudzy chleb, mięso, odziewają się w cudze ubranie, mieszkają w cudzych domach, a podczas wojny idą bezmyślnie zabijać i kaleczyć ludzi takich, jak oni sami.

I dochodził do przekonania, że istnieją tylko trzy powołania, godne człowieka: nauka, sztuka, i praca fizyczna. Z całą siłą odezwały się w nim marzenia o pracy literackiej.

Niekiedy, przy czytaniu pięknej książki z żalem dumal:

„Boże mój, to takie proste, ja sam tak myślę i czuję. Wszak i ja mógłbym coś takiego napisać“.

Pragnął napisać powieść albo duży romans, na tle życia wojskowego.

Układał plany, obrazy rysowały się w jego wyobraźni jasno, postacie stawały przed nim żywe. Lecz kiedy brał się do pisania, wychodziło to blade, dziecinnie niezręcznie, przesadnie i szablonowo. Póki pisał z zapalem nie widział tych błędów i braków, lecz wystarczyło mu przejrzeć potem najmniejszy urywek z dzieł któregośkolwiek z pisarzy rosyjskich, aby go natychmiast opanowała rozpacz bezsilna, wstyd i wstręt do własnego utworu.

Z takimi myślami często błądził po mieście w ciepłą, piękną noc majową. Niepostrzeżenie obiecał sobie zawsze jedną i tę samą drogę od cmentarza żydowskiego do plantu kolejowego, a ztamtąd do nasypu i wtedy to spostrzegał, że jest daleko po za miastem, to jest na drugim końcu prawie. Wtedy wypadła mu droga około okien Aleksandry, to też zbaczał na drugą stronę ulicy, skradając się, czając, wstrzymując dech z takim uczuciem, jakgdyby popełniał jakiś tajemny, haniebny, złodziejski czyn. Gdy w bawialni Nikołajewa gaszono lampę, Romaszow przyczajał się około parkanu i, mocno przyciskając ręką serce, szeptał cicho, głosem błagalnym.

— Spij moja ty przesłizna, spij kochanie moje. Jestem blisko ciebie, strzegę cię.

W takich chwilach Romaszow czuł lzy w oczach, a w duszy z miłością i przywiązaniem poruszała się ślepa, zwierzęca zazdrość dojrzałego człowieka.

Pewnego dnia Nikołajew był zaproszony na winta do pułkownika. Romaszow wiedział o tem. Idąc tak pośród majowej nocy pełnej czaru, odurzony zapachem narcyzów, przeskoczył przez parkan, narwał ich z grządkki, walając ręce w wilgotnej, czarnej ziemi. Z całą garścią zbliżył się ku oknu otwartemu, gdzie spała Oleńka. Ze śmiałością i wielką zręcznością rzucił kwiaty do pokoju.

Stał jakby zawstydzony tem, co uczynił, a potem bez szelestu, zarumieniony wyszedł na ulicę.

Na drugi dzień otrzymał od Oleńki małą karteczkę.

„Jerzy, nie rób nigdy czegoś podobnego. Tkliwości z Romea i Julii, śmieszne są, zwłaszcza jeżeli zdarzają się w liniowym pułku piechoty”.

We dnie Romaszow pragnął ją ujrzeć choćby z daleka, lecz to przychodziło mu z trudnością. Często znów, widząc na ulicy osobę, która figurą przypominała mu Oleńkę, biegł za nią z bijącym sercem. Czuł wtedy, jak ze wzruszenia cały lodowacieje, staje się zimny, jak drzy. Za każdym razem spostrzegł swą omyłkę, wtedy czuł się samotnym, nieszczęśliwym, złamanym. Miał w duszy wrażenie nudy, samotności i martwej jakiejś pustki.

## XVIII.

W końcu maja w rocie kapitana Osadczego powiesił się młody żołnierz, odebrał on sobie życie w rocznicę śmierci innego, który się również powiesił w roku zeszłym, tego samego dnia. Przy sekyi, Romaszow, jako pomocnik dyżurnego, musiał być osobiście. Ciało żołnierza jeszcze się nie rozłożyło.

Romaszow czuł zapach wnętrzości, gdy rozkrajano trupa, widział je szare, ślizgie, sinawe, widział zawartość żołądka, zwoje mózgowie. Te części składowe ciała ludzkiego, nowe, dotąd zupełnie mu nieznanne zrobiły na nim straszne wrażenie, wrażenie wstrętu, a równocześnie pogardy dla człowieka.

W pułku od czasu do czasu pojawiały się dni okropnego nadużywania, dni jakiegoś szalu. Być może, te momenty pojawiały się wtedy, gdy ludzie, nieoczekiwanie złączeni losem z sobą, osądzeni jednocześnie na nudną pracę i okrutność bezmyślną, nagle wyczytywali w oczach jeden u drugiego, gdzieś w głębiach swoich istnień przygniecionych fatalizmem doli oficerskiej, iskrę rozpacz, tęsknoty obłędnej, lub czegoś podobnego. Wtedy spo-

kojne chwilowo życie, niby spiętrzone naraz fale wód, występowało z brzegów swego łożyska.

Toż nastąpiło po tem zabójstwie. Pierwszy rozpoczął Osadczy. Akurat wypadło kilka świąt jedno po drugim. Kapitan przez ten czas zgrywał się szalenie w karty i dużo bardzo pik. Dziwne: wielka moc woli tego straszego, wielkiego, rozbestwionego człowieka pociągnęła za sobą cały pułk w zamęt, w wir, podczas którego Osadczy z cynizmem, wyzywająco, jakby szukając usprawiedliwienia, jakby się chciał zagłuszyć, wyrzucał raz wraz słowa ohydne, mieszając je z nazwiskiem umarłego.

Była szósta wieczorem. Romaszow siedział na oknie i wygwizdywał melodyę z „Fausta.” W ogrodzie ćwierkały wróble i krzyczały sroki. Noc nadchodziła. Pomiędzy drzewami tułały się już cienie.

Nagle, przed gankiem jego domu ktoś zaśpiewał głośno, fałszywie:

„Wściekają się konie, dźwięczą mundsztuki,  
Pienią się, rwa, chrapią...”

Z hałasem pełną drzwi i wtoczył się do pokoju Wietkin. Z trudem trzymając takt śpiewał dalej:

„Panie, panny wzrokiem przerażenia  
Za uchodzącym rzucają...”

Pijany w najwyższym stopniu, miał w oczach wyraz oblakania. Powieki jego oczu od nocy bezsennych były czerwone i nabrzękle. Czapkę zsuniętą miał na tył głowy. Wąsy mokre, obwisłe, pociemniałe.

— Jerzy! Anachoreto syryjski, pocałuję cię! — zaryczał z całej siły. — Czegóż się kwasisz? Chodź bracie. Tam wesoło. Grają, śpiewają. Chodź.

Močno, długo ucałował Romaszowa w usta.

— Dość, dość, Pawle Pawłowiczu. Po cóż te cielece zachwyty?

— Daj mi dłoń, druha! Instytutko. Kocham w tobie wszystko moje przeszłe, młodzieńczość, która uleciała. W tej chwili Osadczy wszystkie szyby potłukł, Romaszowiczu, kocham cię, bracie mój! Pozwól się ucałować należycie, po rosyjsku, w same usta.

Opuchła twarz Wietkina wstręt wzbudzała w Romaszowie, zapach wódki, buchający z ust, był dlań obmierzły. W takich jednak razach czuł się bezsilnym i tylko uśmiechał się smutno.

— Aha, po co to ja do ciebie przyszedłem? — wrzeszczał Wietkin zataczając się. — Miałem coś ważnego... Ach ot... Urządziłem Bobetyńskiego, rozumiesz co do szeląga, co do kopiejkii! Doszło do tego, że chciał grać na weksle. Nie chłopaczkę, mówię — zaczekaj. Wtedy zaczęliśmy grę na rewolwer. Spójrz Roma... — Wietkin wyciągnął z kieszeni cacko rewolwer w zamiszowym futerale. — To systemu Cherwina. Pytam go za ile? Dziesięć, piętnaście! Dyabliż z tobą! Zaczęliśmy. W piątym turze bacnę mu damkę! Witajcie sto gości! Parę rubli ledwo zatrzymał sobie. A rewolwer wspaniały. Daruję ci go na pamiątkę przy... jaż... — tak, he!

— Po co to Pawle Pawłowiczu?

— Co, myślisz, że jest zły? Słonia zabijesz! Zaczekaj spróbujemy. Gdzie twój niewolnik, załadamy deski. Hej niewolniku! Chwiejnie wyszedł do sieni, z której po chwili wrócił, niosąc pod pachą biust Puszki.

— Daj pokój Pawle Pawłowiczu. Nie warto — próbował sprzeciwić się Romaszow.

— Et co tam. Jakiś szpak. Czekać, dam ja mu!

Postawił biust na taburecie, odszedł kilka kroków i zmierzył. Robił to wszystko z takim podnieceniem, że Romaszowa ogarniał niepokój, czy nie nastąpi jaki wypadek przez nieostrożność.

Wietkin długo celował, wreszcie wystrzelił.

Huk ogłuszył Romaszowa. Kula przeszła prawą szczękę figury.

— Widziałeś, migdałek? He he! Ot, więc masz, schowaj i pamiętaj o mojej przyjaźni dla ciebie, a teraz pójdź, pójdziemy do klubu, haj!

— Pawle Pawłowiczu, doprawdy...

Nie mógł odmówić; nie znajdował na to ani słów stanowczych, ani odpowiedniej tonacji głosu. Czyniąc sobie z tego powodu wymówki, powlókł się za Wietkinem, który chwiejnie, choć z odwagą szedł naprzód.

Był to w całej swej rozciągłości obłądny, szalony wieczór. Zrazu pito w klubie, potem na dworcu kolejowym i znów w klubie. Z początku Romaszow krępował się, czynił sobie wyrzuty, czuł, że wśród pijanych nie ma miejsca dla niego, że go być nie powinno! Śmiech wydał mu się nienaturalnym, żarty płaskimi, śpiew fałszywym. Ale czerwone wino pite na dworcu zakreśliło mu w głowie, rzucając w ogólny chaos wesołości. Przed oczyma powstała szarawość z milionem prochów, wszystko nagle stało się dobrem, miłym i wesołym.

Godzina biegła za godziną. Gdy lampy zapalono w jadalni, Romaszow zrozumiał dopiero, że musi być późno.

— Panowie, pojedziemy do dziewcząt — ktoś zaproponował — pojedziemy do Szlejferszy.

— Hurra! — odpowiedziała reszta.

Wszyscy wśród śmiechu, chaotycznie wyszli.

Tego wieczoru działo się wszystko jakby samo przez się. Przed bramą klubu stało parę faetonów. Nikt nie wiedział, kto dorożki zamówił.

W umyśle Romaszowa to ciemniało, to następowały jasne, ostre momenty dokładnego pojęcia. Ujrzał się nagle siedzącym obok Wietkina. Na proździe siedział ktoś trzeci, ale Romaszow nie mógł rozpoznać kto to taki, wiedział, że znajomy, postać jednak ciemniała, to szarzała. Nagle Romaszow za-

śmiał się, podchwytyjąc uchem własny drewniany swój śmiech.

— Łesz Wietkin, wiem, dokąd jedziemy. Wiesz mnie do kobiet. O wiem doskonale.

W tej chwili minął ich z ogłuszającym stukotem po kamieniach drugi ekwipaż. Mignęły w świetle latarni rozgalopowane konie, woźnica rozmachujący batem i czterej oficerowie z krzykiem i świstem, kołyszący się na siedzeniu.

Świadomość wszystkiego nagle oślepiła Romaszowa. Tak, jedzie tam, gdzie wegetuje miłość sprzedażna. Za pieniądze? Na minutę? Ach mniej-sza—cóż! „Kobiety, kobiety!” mówił wewnątrz Romaszowa jakiś dziki, niecierpliwy głos. Mieszala się z tym głosem daleka, ledwo wyczuwalna myśl o Aleksandrze, ale w tem połączeniu nie było nic niskiego, obrażającego, lecz przeciwnie, coś rozkosznego, coś porywającego serce.

Przyjedzie niebawem do tych kobiet, nie znanych sobie jeszcze, ani razu nie widzianych, do tych dziwnych, pociągających istot—do kobiet! Marzenie stanie się prawdą. Będzie patrzył na nie, brał je za dłonie, słuchał śmiechu, śpiewu. Będzie to dla niego radosną pocięgą w tem szalonym pragnieniu, które pociąga go do jednej kobiety na świecie, do Oleńki. Nie miał teraz żadnych celów ubocznych, chwyciło go tylko, jego, odrzuconego przez ukochaną, najprostsze zadowolenie, chwyciło tak, jak ciągnie w chłodną noc majak ognia ptaki, zmęczone. Nie, nie więcej.

Konie skrzyły na prawo. Odrazu ustał stuk kół o bruk. Faeton potoczył się ulicą bitą, zjeżdżoną, pełną wybojów. Romaszow otworzył oczy. Przed nim w oddali ukazały się ogniki rozrzucone w ciemnościach. Chowaly się za drzewa, za domy, to ukazały, że zdało się, tam, daleko brodzi tłum ludzi, fantastyczna procesya z lampkami w rękach.

Czasem zapachniała mocno czeremcha, czy akacya i znów wionęło zimne powietrze.

— Dokądże jedziemy?—zapytał ponownie Romaszow.

— Do Szlejferszy—krzyknął siedzący na przodzie. Romaszow z zadziwieniem pomyślał: „Ach, tak, przecież to porucznik Epifanow.”

— Jedziemy do Szlejferszy! Czyś pan nigdy tam nie był?

— Idź pan do dyabła!—zawołał Romaszow. Epifanow śmiał się i mówił:

— Posłuchaj, Jerzy Aleksiejewiczu, cheesz, powiemy, żeś pan pierwszy raz. Co? No, mój drogi, moja duszko? One to lubią. Cóż to panu szkodzi?!

Świadomość Romaszowa znowu się powlekła mgłą. Ujrzał się nagle w salonie z meblami wiedeńskimi. Po nad drzwiami, wiodącemi do innych pokoi, wisiały portyery jasne w kolorowe bukiety. Takież firanki osłaniały okna. Palily się kinikiety. W pokoju było duszno, czuć było dym papierosów i zapach kuchenny.

Oficerów przyjechało z dziewięciu. Zdawało się, że każdy z nich jednocześnie i śpiewał i śmiał się i krzyczał. Romaszow chodził od jednego do drugiego, poznając w nich z przyjemnością Bek-Agamałowa, Lbowa, Wietkina, Epifanowa, Arczakowskiego, Olizara i innych. Był również i sztabkapitan Leszczenko; siedział pod oknem, jak zwykle ponury i milezący. Na stole, ni ztąd ni zowąd, jak wszystko tego wieczoru, zjawily się butelki z piwem i wiśniówką. Romaszow pił, całował się, ścisnął, czując, że usta miał lepkie i słodkie. Kobiet było ze sześć. Jedna z nich z wyglądu czternastoletnia dziewczynka, ubrana za pazia, siedziała na kolanach Bek-Agamałowa i bawiła się jego akselbantami. Druga, tęga blondyna w czerwonym szla-

froczku, z dużą, czerwoną, napudrowaną twarzą z uczernionemi brwiami: podeszła do Romaszowa.

— Smutnyś—rzekła do niego.—Może pójdziesz do mego pokoju?

Usiadła bokiem na stole, założywszy nogę na nogę. Romaszow dostrzegł uwydatniające się przez szlafrok, jej kształty. Zadrżał.

— Jak ci na imię?—spytał nerwowo.

— Mnie? Malwina. — Odwróciła się od oficera zamachawszy nogami.—Poczęstuj pan papierosem—rzekła po chwili.

Niebawem zjawili się muzykanci, jeden ze skrzypcami, drugi z basetlą. Pod takt fałszywie granej polki, Olizar i Arczakowski poczęli tańczyć kankana. Wskakiwali jeden naprzeciw drugiego na lewej, to na prawej nodze, stukali palcami, cofali się przysiadając, albo w najycieźniejszy sposób robili rozmaite gesty.

Nagle Bek-Agamałow skoczył ze stolka i ryknął świszcząco:

— Won szpaki! Natychmiast! Fiit!

W drzwiach ukazało się dwóch cywilnych; znani byli wszystkim oficerom, bo bywali na wieczorach w klubie, jeden urzędnik pałaty, a drugi był bratem sędziego, obywatel miejski—obaj bardzo przyzwoicie ludzie.

Urzędnik uśmiechnął się wymuszenie.

— Pozwólcie panowie—rzekł grzecznie—należeć do kompanii. Panowie nas znają.... Jestem Dubiecki... w niczem nie przeszkodzimy.

— Choć ciasno—zaczął drugi..

— Wo-on—ryknął Bek-Agamałow.—Marsz!

— Panowie, wyrzućcie szpaków — ryknął Arczakowski.

I nagle w pokoju zapanował chaos, krzyk, śmiech i kłatwy.

Przybysze ze dworu krzyczeli.

— Nie darujemy swego. Poskarżymy się komendantowi pułku, gubernatorowi! Opryszki!

— U! Lu-lu lu lu lu! A tu ich! — kwiczał Wietkin, wysuwając się przez okno.

Zdało się Romaszowowi, że wszystkie wypadki z dnia dzisiejszego jeden za drugim toczą się bez wszelkiego związku, jakby przesuwała się przed jego oczyma, jakaś wstęga wyszyta dziwaczniemi wzorami.

Znowu zajęczały skrzypce.

Ktoś tańczył bez mundura, w białej koszuli i co chwila siadał na ziemi.

Szczupła, ładna dziewczyna, której przedtem Romaszow nie dostrzegł, z rozpuszczonemi czarnemi włosami, obejmowała gołemi rękami Leszczenkę za szyję i starając się przekrzywić hałas, oraz muzykę, cienkim głosem śpiewała mu do ucha:

Kiedy cię toczyć będą suchoty,  
Gdy będziesz bladym jako ta ściana,  
A w koło siadą doktorzy...

Bobetyński bryzgał piwem do niszy, z której co raz to odzywał się mrukliwy głos, jakiejś rozespanej kobiety:

— No, panowie... dość że tego. Któż tam? cóż to za świństwo?!

— Słuchaj, dawnoś tutaj — spytał Romaszow dziewczyny w szlafroku, kładąc nieznacznie rękę swoją na jej cieplem udzie.

Coś odparła, czego jednak nie dosłyszał. W tej że chwili zwróciła uwagę jego dzika scena.

Podporucznik Łbow gonił jednego z muzykantów i z całej siły walił go instrumentem po głowie. Żyd wrzeszczał i oglądając się za siebie, pędził z kąta w kąt, zakasawszy chałat. Wszyscy się śmieli. Arszakowski ze śmiechu padł na podłogę i tarzał się, płacząc z uciechy. Dobiegł krzyk

i drugiego muzykanta. Ktoś porwał mu skrzypce i roztrzaskał o ziemię. Nastąpił później chaos. Dalej dostrzegł Romaszow jak w koło Beka zgrupowali się inni, ale w tejże sekundzie rozbiegli się po kątach.

— Won ztąd wszyscy! Nie chcę nikogo — z wściekłością ryczał Agamałow. Zgrzytał, tupał nogami i kwiczał. Twarz oblała mu się purpurą, żyły na skroniach nabrzmiały, a z oczu wylupionych bił szal. Co raz to bardziej ryczał podobny do opętanka.

— A-aa-a!

Raptem w mgnieniu oka wyjął z pochwy szablę. Świsnął nią po nad swoją głową.

Wówczas wszyscy rzucili się do drzwi i okien. Kobiety zaczęły histerycznie piszczeć. Mężczyźni odpychali się wzajemnie. Romaszowa pchnięto ku drzwiom, drasnawszy epoletem czy guzikiem.

Poczęto uciekać w popłochu. Romaszow stanął we drzwiach. Razem z przerażeniem czuł jakąś żywiołowość.

— Zzzarąbię! — darł się Bek-Agamałow. — Zzzarąbię!

Ogólny strach upił go. Zaczął rozbijać butelki, szklanki, lustra, meble...

W tem z po za parawanu zakrzycaano:

— Idyota! Cham!

To krzyczała dziewczyna, która pieściła Leszczenkę; Romaszow zrazu nie dostrzegł jej. Stała w niszy, ukryta za piecem. Opierając się rękami na biodrach, nieustannie krzyczała, jak przekupka:

— Dureń! Cham! Bydle! Nikt się ciebie nie boi! dureń! głupiec! głupiec! dureń!

Bek-Agamałow, jakby zmieszany opuścił szablę.

Romaszow dostrzegł jak coraz bardziej bladła Bekowi twarz, a w oczach zapalał się złowrogi żół-

ty blask. W jednej sekundzie skurezył się jak zwierzę do skoku.

— Zamilecz!—zachrypiał.

— Dureń! Bałwan! Ormiaszka! Nie zamilecz! Durniu! Głupeze!—krzyczała dziewczyna, wzdrygając się od własnego krzyku.

Romaszow czuł, że sam blednie co chwila, bardziej i bardziej. Mieszanina strachu i wesołości objęła jego duszę. Spostrzegł, jak Bek-Agamałow, nie spuszczać wzroku z dziewczyny, podnosił nad głowę szablę.

Nagle płomień obłądnego zachwytu porwał Romaszowa, strachu, zimnej krwi, śmiechu i odwagi.

— Nie zamilkiesz? — zaryczał Bek, czyniąc skok w stronę dziewczyny. Ale w tejże sekundzie Romaszow z siłą, o jakiej sam nie miał pojęcia, schwycił za rękę Beka.

Przez parę sekund obaj oficerowie mierzyli się uporeczywie wzrokiem. Agamałow ciężko dyszał. Szał zwolna zaczął ginać w jego oczach i na jego twarzy.

Rozkoszą było dla Romaszowa stać tak między życiem a śmiercią, ze świadomością, że on zwycięża, on, Romaszow.

Wszyscy, którzy patrzyli na tę scenę, zrozumieli niebezpieczeństwo. Za oknami nikt się nie ruszył — była taka cisza, że gdzieś, o kilka kroków w ciemności nagle rozelkał się słowik.

— Puść—rzęzał Bek-Agamałow.

— Bek, nie uderzysz kobiety.

Ostatnie iskry wściekłości zagasły w oczach Beka.

Romaszow szybko zamrugał powiekami i głęboko westchnął. Serce stukotało przerażeniem, głowa ciężka.

— Puszcza!—raz jeszcze wrzasnął Bek i z niewiścią szarpnął się. Romaszow uczył, że nie mo-

że już więcej sprzeciwić się. Dotknął łagodnie ramienia Beka i rzekł:

— Wybacz mi... Sam mi potem podziękujesz.

Bek-Agamałow z wściekłością włożył szablę do pochwy.

— Dyabl... porachujemy się jeszcze—mrucał ze złością.

Stojący na dworze zrozumieli, że najgorsze minęło, wrócili więc do pokoju. Agamałow siedział pęsepny. Przyleciała Szejfersza gruba, brudna i zaczęła jęczeć.

— Któż mi teraz zapłaci straty, kto zapłaci za lustro, meble, szklanki i dziewczęta? — płacząc biegła od oficera do oficera.

I znowu ktoś zaczął się z nią obliczać. Reszta oficerów wyszła. Czyste majowe powietrze owionęło Romaszowa, który zupełnie wytrzeźwiało. Podszedł do niego Bek-Agamałow i ujął pod ramię.

— Romaszow, siadaj ze mną—zapropoNOWAŁ—dobrze?

I kiedy siedzieli obok siebie, a Romaszow patrzył jak konie galopowały, pędząc z powrotem do miasta, Bek odnalazł rękę podporucznika i mocno, długo, aż do bólu uściśnął go. W tym uścisku mieściło się wszystko.

— Za-a-ście-wa-my cośko--ol-l-wiek—zaciągnął Wietkin na nutę kościelnej antyfony.

— Za-a-ście-wa-my cośko-o-lwiek, za-a-ście-wamy—wtórowali inni.

— Za księżym przelazem, paliło się troje razem — śpiesznie na kościelny ton paplał Wietkin. Za nim cicho powtarzał chór, podtrzymywany przez Osadczego.

Wietkin dyrygował śpiewem, wymachując rękami. Robił to straszne, to znów łagodne oczy, syczał na tych, co fałszowali, to poskramiał zanadto unoszących się zapalem.

— Sztabskapitanie Leszczenko, fałszujecie. Niedźwiedź nadeptał wam na ucho. Cicho!—krzyknął Osadczy.—Uciszcie się panowie. Nie rozmawiać, kiedy śpiewają.

— Jak bo-ga-ty chłop pije poncez gla-ce... — wyśpiewywał Wietkin. Dym papierosów wygryzał oczy. Cerata na stole była cała lepka. Romaszow ze wstrętem spojrzął na swe ręce. Przeszedł prędko przez dziedziniec do umywalni oficerskiej. Była to pusta i zimna komórka o jednym oknie. Wzdłuż ściany stały dwa łózka, na których nie zmieniano nigdy bielizny; nie zamiatano tu, nie przewietrzano. Dlatego też było duszno, czuć było bieliznę przesiąkniętą stęchlizną, zastarzałym dymem papierosów i smarem na buty. Pokój ten był przeznaczony dla przejeżdżających czasowo oficerów do sztabu pułkowego.

Do tego pokoju podczas wieczorków, przynoszono pijanych oficerów po dwóch i trzech kładąc na jeno łózko. Dlatego pokój ten zwano „trupiarnią“ *morgudą*, „kaplicą“ umarłych. W tem była ironia życiowa, gdyż na tych łózkach zastrzeliło się już kilku oficerów i jeden deuszyzyk.

Tak bywało co roku.

Kiedy Romaszow wszedł do trupiarni, na łózkach siedziało dwóch ludzi. Siedzieli w ciemności i tylko po szeleście ledwie dosłyszalnym, Romaszow

## XIX.

Wszyscy z powodu przeżytego wzruszenia byli w nerwowem napięciu. Oficerowie, powracając do domu, awanturowali się niesłychanie. Zatrzymywali Żydów, przezywając ich, zdzierali im czapki z głowy, pędzili naprzód co tchu, rzucając czapki po za płot.

Olizar podczas jazdy, stojąc na stopniu powozu, załatwiał przyrodzone czynności na ulicy, trafiając w przechodniów, którzy szli środkiem drogi. Pozostali śpiewali głośno. Tylko Bek-Agamałow, siedzący obok Romaszowa milczał, gniewnie sapiąc.

Kasyno pełne gości, jaśniało od światła. W sali gry, w jadalni, w bufecie, pełno było jedzących i pijących młodych ludzi, w rozpiętych kitlach, z nieruchomymi, zmęczonemi oczami i leniwymi ruchami. Romaszow nagle spostrzegł Nikolajewa. Siedział on wraz z Osadczym, mocno podehmielony, czerwony, lecz trzymał się dobrze. Gdy Romaszow przybliżył się doń, Nikolajew bystro spojrzął na niego, odwrócił się, jakby nie widząc i zaczął rozmawiać z sąsiadem.

— Wietkin, chodź, zaśpiewaj coś! — zawołał Osadczy po przez głowy kolegów.



zauważył ich obecność i z trudem rozpoznał ich. Byli to: sztabkapitan Klodt, alkoholik i pijak, pozabawiony dowództwa roty i podchorąży Zołotuchin, wysoki, niemłody, łysy, gracz, awanturnik, pijak. Między nimi stała butelka z wódką, pusty talerz i dwie pełne szklanki. Żadnej przekąski. Towarzysze pijatyki milezeli, jakby chowając się przed przybyciem i gdy ten nachylił się ku nim, oni, chytrze uśmiechając się, patrzyli gdzieś w dół.

— Boże mój, co wy tu robicie? — z przestraszonym zapytał Romaszow.

— Ts-sss! — rzekł Zołotuchin tajemniczo, ostrzegając podnosząc palec do góry — poczekajcie. Nie przeszkadzajcie.

— Cicho — szeptem rzekł Klodt.

Nagle i zdaleka zaturkotał wóz. Wtedy obaj prędko podnieśli szklanki, trącili się i wypili duszkiem.

— Cóż to jest? Na Boga! — krzyknął z trwogą Romaszow.

— A to mój, miły — z wiele znaczącym giestem rzekł Klodt — u nas przekąska taka. — Tu chorąży zwrócił się ku Zołotuchinowi. — Teraz pod blask wypijemy. Chcesz pod blask księżycy? — Spojrzał w okno na wązki sierp księżycy, smutno płynący po nad miastem. — Cicho! — wyszeptał.

Nachylili się ku sobie, ogarnięci szalem pijackim. Z jadalni dochodziły przytłumione, harmonijne dźwięki śpiewu kościelnego, podobnego do marszu pogrzebowego.

Romaszow schwył się za głowę.

— Panowie, dla Boga! przestańcie, to straszne — rzekł smutno.

— Idź do dyabła — wrzasnął nagle Zołotuchin.

— Nie, poczekaj kolego! Dokąd? Naprzód wypijcie z nami. Nieee, nie wymkniesz się kolego. Zamknij drzwi sztabskapitanie.

Obaj zeskokczyli z łóżka i zaczęli gonić Ro-

maszowa. Wszystko to, ten ciemny pokój, ta tajemnicza, fantastyczna pijatyka wśród nocy, bez światła, ci dwaj szaleni ludzie, wszystko to nagle wionęło na Romaszowa lekkim śmierci i szaleństwa. Z przeraźliwym krzykiem odepchnął Zołotuchina na bok i drząc cały wyleciał z trupiarni.

Rozsądek mówił mu, żeby iść do domu, ale jakiś niepojęty demon rozkazał mu iść do jadalni.

Gdy wszedł, oczom jego ukazał się niemiły widok; wielu już drzemało na krzesłach i oknach. Zmęczona, ledwie trzymająca się na nogach służba, żołnierze bufetowi, drzemałi, stojąc i co minuta ziewali nie otwierając ust, nozdrzami tylko.

Cięzka ogólna pijatyka trwała bez przerwy.

Wietkin stał na stole i wyśpiewał:

Jako bystre fale  
Płyną dni żywota...

W pułku było dużo oficerów z kasty duchownej i dlatego nawet po pijanemu śpiewali dobrze. Prosta, smutna, wruszająca melodia uszlachetniała wyrazy popolite.

Wszystkim na chwilę smutno i ciasno się zrobiło, w tej ciasnej, stęchłej sali, wśród głuchego, ciasnego i ślepego życia:

Umrzesz pochowają,  
Nie będzie cię więcej...

wyraźnie śpiewał Wietkin. Dźwięki własnego wzruszonego głosu, fizyczne odczucie ogólnej harmonii chóru, łzami napęliły jego dobre głupkowate oczy. Arczakowski wtórował mu, a chcąc, by głos jego wibrował, dwoma palcami przyciskał krtani. Osadczy akompaniował chórowi, zdawało się, wszystkie tony ginęły w ciemnych falach organowych dźwięków.

Prześpiewali pieśń i zamilkli. Cicho zadumali się.

Nagle Osadczy ze spuszczonei oczami zaczął półgłosem:

„W nieznaną drogę idąc, strapieni, wszyscy, żywot jako jarzmo niosący...”

— No dosyć już... — zauważył ktoś smętnym tonem.

— Przyczepiliście się do tej egzekwii. Już po raz dziesiąty...

Ale drudzy pochwycili pogrzebową melodyę i oto zabrzmiały czyste, jasne akordy egzekwii Jana z Damaszku, przeniknione głębokim smutkiem, wielką namiętnością za uchodzącym życiem: „I następcy moi w wierze przyjdziecie radować się przygotowanymi dla was wieńcami „chwały niebieskiej.”

Arczakowski zaintonował:

— „Pragniemy z całej duszy...”

Tak odprawili całą egzekwie. A gdy nadeszła kolej na wspomnianie, Osadczy, nachylając się, z wywróconemi oczami, udając głosem huezenie strun basetli, mówił:

„W błogim zgonie żywot i pokój wieczny daj Panie, zmarlemu słudze Twemu, Nikiforowi... — tu Osadczy nagle dodał cyniczne słowo — i daj mu wieczny-y-y...”

Romaszow przyskoczył i z całej siły uderzył pięścią w stół.

— Nie pozwolę! Mileczeń! — krzyknął pełnym cierpienia głosem.—Na co wyśmiewać się? kapitanie Osadczy, wam nie jest śmiesznie, ale źle i strasznie. Ja widzę! Ja wiem, co wy odczuwacie w duszy!

Śród ogólnej nagłej ciszy ktoś zawołał waha-  
jąco:

— On pijany?

W tejże chwili wszystko zahęzało, zajęczało, wyskoczyło z miejsc i skrećilo się w pstry, ruchli-

wy i krzykliwy kłęb. Wietkin, zeskakując ze stołu, zawadził głową o wiszącą lampę; zakolysała się ogromnym kręgiem i cienie opętanych gniewem ludzi, to wyrastając jak olbrzymy, to ginąc na podłodze, złowieszczą splątane, skakały po białych ściankach i suficie. Wszystko, co teraz działo się w kasynie, z tymi wzburzonymi, podnieconymi, pijanymi, nieszczęśliwymi ludźmi, działo się szybko, niedorzecznie, wstrętne.

Jakby jakiś demon kazał ludziom wymawiać plugawe słowa i wykonywać szkaradne ruchy.

Wśród tego odmetu Romaszow nagle ujrzał tuż blisko jakąś twarz, ze skrzywionemi, krzyżącymi ustami, twarzy tej na razie nie poznał, tak była zeszecona złością.

To Nikolajew krzyczał, śliniąc się i mrugając nerwowo muskułami lewego policzka pod okiem.

— Sami hańbicie pułk! Nie waście się nie mówić. Wy i różni Nazańscy!

Ktoś ostrożnie mitygował Romaszowa. Obejrzał się i poznał Bek Agamałowa. Lecz w tejże chwili, nie zważając nań, rzekł cicho chrypliwym, żalonym śmiechem.

— Co to ma wspólnego z Nazańskim? Może macie jakie specjalne tajemnicze powody niechęci względem niego?

— W mordę dam! Podlec, łotr!—krzyknął Nikolajew podniesionym głosem.—Cham.

Zamierzył się na Romaszowa, oczy wytrzeszczył, lecz nie śmiał uderzyć. Romaszow poczuł słabe omdlewające zamieranie, i nagle plunął w twarz Nikolajewa, oblewając go resztkami niedopitego wina.

Jednocześnie jakieś błyski mignęły z jego oczu. Z przeciągłem, zwierzęcem wyciem rzucił się Romaszow na Nikolajewa i obaj gruchnęli na ziemię, oplekli się rękami i nogami tarzając po ziemi, przewracali krzesła, polykając brudny, cuchnący pył. Rwali, gnietli, ciskali jeden drugiego, rycząc

i dysząc. Romaszow nie czuł, że wypadkowo palce jego wpadły w usta Nikolajewa i że chciał rozerwać mu tę ślizgą, wstrętną, gorącą gębę. Nie czuł zgoła bólu, gdy głową i łokciami tłukł o podłogę w tej szalonej walce.

Był zupełnie wyczerpany. Przyszedłszy do siebie, spostrzegł, że leży w kącie, do którego go przyparto, oderwawszy od Nikolajewa.

Bek-Agałamow trzeźwił go wodą. Kitel jego rozerwany był pod pachami i na plecach, a oderwane epolety wisiały na tasie. Głosu nie mógł wydobyć i tylko krzyczał bezdźwięcznie wargami.

— Ja mu... jeszcze pokażę!... Wyzwę go... na pojedynek!...

Stary Lech dotąd spokojnie drzemiący na końcu stołu, teraz rozbudzony, otrzeźwiony zawołał rozkazująco:

— Jako starszy rangą nakazuję wam, panowie, natychmiast się rozejść. Słyszycie panowie, natychmiast! O całym zajściu podam jutro raport dowódcy pułku.

Wszyscy rozchodzili się zmieszani, przynębieni, nie patrząc na siebie. Każdy lękał się w oczach drugiego wyczytać swój wstyd, swój niewolniczy smutek, strach i smutek, złych, małych zwierzątek, których mętne pojmowanie nagle oświeciła jasna świadomość ludzka...

Świtało. Niebo było jasne, czyste. Powietrze ciche, chłodnawe.

Wilgotne drzewa, spowite ledwie widzialnymi oparami, tajemniczo się budziły ze swych nocnych snów. Gdy Romaszow szedł do domu, patrzył na nie, na niebo, na zroszoną siną trawę, czuł się nędznym, złym, potwornym i nieskończenie obcym wszystkiemu śród niewinnego piękna, budzącego się ze snu poranka.

## XX.

Tegoż dnia, było to w środę, Romaszow otrzymał krótkie oficjalne zawiadomienie:

„Sąd oficerów N-skiego pułku piechoty, zwoła podporucznika Romaszowa, aby ten stawił się o godzinie 6-ej w sali oficerskiego klubu. Forma ubrania zwykła.

Przewodniczący sądu podpułkownik  
*Migunow*”.

Romaszow nie mógł powstrzymać mimowolnego uśmiechu. Zwykła forma ubrania używaną bywała właśnie w niezwykłych okolicznościach: wobec sądu, podczas nagany publicznej, albo podczas nieprzyjemnego, urzędowego pojawiania się u władz.

O godzinie 6-ej przyszedł do klubu, o czym kazał dyżurującemu zawiadomić przewodniczącego. Usiadł więc w stołowym pokoju, wziął gazetę i zaczął czytać mechanicznie, nie a nie rozumiejąc. Trzech oficerów, siedzących w jadalni, przywitało się z nim obojętnie, prowadząc rozmowę dalej półgłosem, aby ich nie słyszał.

Jeden tylko podporucznik Michin uściskał go

serdecznie za rękę, poczerwieniał i narzuciwszy szybko—wyszedł. Niezadługo przez salę bufetową wszedł do jadalni Nikolajew. Był blady, nerwowo drżał. Twarz opuchnięta z sińcem koło skroni wyrażała niby obojętność.

Ujrzawszy go, Romaszow nagle przypomniał sobie ohydne zajście i zgarbiwszy się, marszcząc twarz, zasłaniając ją gazetą, gniewiony ciężarem wspomnień tej ohydy, przymknął oczy.

Słyszał jak Nikolajew zażądał kieliszek koniaku, jak się z kimś pożegnał, wreszcie jak wyszedł. Po chwili doleciał doń przez otwarte okno szept:

— Nie oglądaj się, siedź pan spokojnie i słuchaj.

Mówił to Nikolajew, stojąc za oknem. Gazeta drgnęła w rękach Romaszowa.

— Nie mam właściwie prawa mówić z panem — rzekł Nikolajew — ale do licha z francuską subtelnością. Co się stało, to się już nie odstanie. Uważam pana jednak za człowieka przyzwoitego i proszę, słyszy pan, proszę ani słowa o mojej żonie i anonimach. Zrozumiałeś mnie pan?

Romaszow, kryjąc się przed oficerami za gazetą, wolno opuścił głowę.

Po paru sekundach ujrzał, że już Nikolajewa nie było.

Poszedł.

Niebawem zjawił się dyżurny, prosząc go do sali.

Były w niej, koło jednej ze ścian, ustawione stoły, przykryte zielonem suknem. Przy stołach siedzieli sędziowie, tyłami do okien, dlatego fizjonomie ich wydawały się ciemnymi. Pośrodku siedział przewodniczący podpułkownik Migunow, gruby, jakby bez szyi mężczyzna; obok niego zajmowali miejsca podpułkownik Rafalski i Lech, a dalej z prawej strony: kapitan Osadczy i Peterson, a z lewej: kapitan Duvernois i sztabkapitan Doroszenko, skar-

bnik pułkowy. Stół był pusty, tylko przed Doroszenką leżało kawałek papieru. W sali panował zmrok, chłód i stęchlizna.

Przewodniczący, położywszy obie ręce na stole i przyglądając się im, zaczął drewnianym, obojętnym basem:

— Podporuczniku Romaszowie, sąd oficerów wyznaczony z ramienia komendanta pułku, zmuszony jest rozpatrzyć okoliczności tego smutnego zajścia w klubie oficerskim, jakie się zdarzyło wczoraj pomiędzy panem a porucznikiem Nikolajewem. Bądź pan łaskaw opowiedzieć nam wszystko jaknajdrobiazgowiej.

Romaszow stał przed nimi, obracając w rękach czapkę i skubiąc lampas.

Czuł się tak niezgrabnym i tak załęknionym, jak podczas egzaminów, kiedy był uczniem i przy nich przepadał.

Urywając co chwila zdania, bez najmniejszego związku zaczął opowiadać o całym zajściu. Jednocześnie, rzucając wzrokiem to na jednego, to na drugiego z sędziów, oceniał ich stosunek do siebie: „Migunow jest obojętny, jakby z kamienia; bywa zawsze sędzią i do niego przywiązana jest ta okropna odpowiedzialność, która jest zazwyczaj połączona z rolą przewodniczącego. Podpułkownik Brem patrzy żalonym, kobiecym wzrokiem; ach mój miły Bremie, czy pamiętasz jak pożyczałem od ciebie dziesięć rubli? Stary Lech siedzi z powagą. Jest dzisiaj trzeźwy i opuchliny pod oczami jego wyglądają jak dwie szramy. Nie jest on dla mnie nieprzychylny, ale sam tyle naawanturował się w klubie, że teraz rola obrońcy ezei oficerskiej była dlań wygodną. Osadczy i Peterson—ci są prawdziwymi moimi wrogami.

— „Prawnie, mógłbym Osadczego odrzucić, przyczyną bowiem sprzeczki były jego egzekwie, ale zresztą, czyż to nie wszystko jedno? Peterson

ledwie uśmiecha się jednym końcem ust. Czyżby coś wiedział o listach anonimowych?

Duvernois ma twarz senną i oczy niby dwie mętne kule. On mnie nie lubi, ani Doroszenko również.

Podporucznik, który kwituje tylko z pensyi i nigdy jej nie otrzymuje... źle stoi twoja sprawa, mój kochany Jerzy Aleksiejewicz?

— Przepraszam — nagle przerwał Osadczy. — Czy pan pułkownik pozwoli mi zadać pytanie?

— Proszę — kiwnął poważnie głową Migunow.

— Powiedz nam pan, podporuczniku Romaszowie — zaczął przewlekłe Osadczy — gdzie pan byłeś, zanim przyjechałeś do kasyna, w tak niemożliwym stanie?

Romaszow poczerwieniał i poczuł jak na czoło wystąpiły mu grube krople potu.

— Byłem... no, w pewnym miejscu — tu dodał prawie szeptem: byłem w domu publicznym.

— Aha, w domu publicznym? — z umyślną wyrazistością rzekł Osadczy. — I prawdopodobnie piliście tam w tym zakładzie?

— Tak, pilem — szybko rzekł Romaszow.

— Aha. Nie mam więcej pytań — rzekł Osadczy do przyzującego.

— Zeznawaj pan dalej — rzekł Migunow. — Zatrzymaliśmy się więc na tem, że obryzgałeś pan piwem twarz porucznikowi Nikołajewowi... dalej?

Romaszow nieskładnie, lecz szczerze i drobniawo opowiedział wczorajsze zajście. Zaczął przyznawać się do żalu i skruchy, jakie wyczuwał za wczorajsze zachowanie się, kiedy mu kapitan Peterson przerwał. Zacierając ręce uprzejmym, cieniem głosem rzekł:

— Wszystko to rozumie się przynosi zaszczyt pańskim szlachetnym uczuciom. Powiedzże nam pan, podporuczniku Romaszowie... Czy przed tą smutną awanturą nie bywałeś pan w domu Nikołajewa?

— Owszem, ale co to może mieć za związek z całą to historią?

— Proszę odpowiadać tylko na pytania — dodał Peterson.

— Chcę się dowiedzieć, czy między panem i porucznikiem Nikołajewem nie było specjalnych powodów do wzajemnej nienawiści? Czy nie było powodów szczególnych, prywatnych?

Romaszow wyprostował się i z jawną nienawiścią spojrzął w oczy Petersonowi.

— Bywałem u Nikołajewa tak samo, jak i u innych moich znajomych. Przedtem żadnej ku niemu niechęci nie żywiłem — mówił szorstko podporucznik. — Wszystko stało się przypadkowo i niespodzianie, a to dlatego, że byliśmy nietrzeźwi.

— Cha, cha, cha, slyszeliśmy o tem — przerwał Peterson. — Chcę się dowiedzieć, czy nie było pomiędzy wami przedtem jakiego zajścia? Nie sprzeczki, ale ot, nieporozumienia, naprężającego stosunki na gruncie prywatnym? No, co do przekonań, czy intryg?

— Panie przewodniczący, wszak mogę nie odpowiadać na niektóre pytania? — nagle zapytał Romaszow.

— Możesz pan — chłodno odparł Migunow. — Możesz pan nie mówić, albo składać zeznania piśmiennie — to dowoli.

— Zatem oznajmiam, że na zadawane pytania przez kapitana Petersona odpowiadać nie będę — odpowiedział Romaszow. — Będzie to lepiej dla nas obu.

Zapytali go jeszcze o parę szczegółów, poczem przyzujący oznajmił mu, że jest wolny, a sprawa skończona.

Wzywano go jeszcze mimo to dwa razy, tegoż dnia wieczorem i drugi raz, w czwartek rano.

Taki nawet niedoświadczony wrzeczach praktycznych człowiek, jak Romaszow, pojął, że sąd

prowadzi sprawę niedbale, niestarannie, robi omyłki i okazuje brak taktu. Ale największym błędem było, że, wbrew wyraźnemu znaczeniu artykułu 149 kodeksu dyscyplinarnego, który surowo zabraniał rozciskania tego, co się dzieje w sądzie, honorowi członkowie tegoż nie unieśli w ścisłości zachować tajemnicy. O posiedzeniach mówili zawsze swoim żonom, żony znajomym z miasta, te, krawcowym, akuszerkom, służbie... I Romaszow w przeciągu paru godzin stał się bohaterem dnia. Kiedy przechodził przez ulicę, patrzono na niego z okien, z za drzwi, z za płotów, ogrodów, furtek. Kobiety zdaleka pokazywały go sobie palcami; słyszał nieraz szepcąc wymawiane swoje nazwisko. Nie wątpiono, że między nim a porucznikiem Nikołajewem odbędzie się pojedynek, o co się nawet zakładano.

W czwartek rano, idąc do klubu, wypadło Romaszowowi przechodzić koło domu Łykaczewych. Koło bramy usłyszał głosik:

— Jerzy Aleksiejewiczu, Jerzy Aleks... chodźno pan!

Zatrzymał się i podniósł głowę. Za sztachetkami stała jedna z Łykaczówien. Była w rannym japońskim szlafrocuku, wykrojonym na piersiach, a przez to odsłaniającym powabną jej szyjkę. Dziewczę było tak miłe, tak rozkoszne, że aż Romaszow stał się weselszym.

Podąa mu przez sztachety rękę i szepleniąc mówiła:

— Dlaczego nie przychodzisz pan do nas? Czy to ładnie zapominać przyjaciół?... Zły, zły, zły, niedobry... Tsss... wiem wszystko, wiem — dorzuciła robiąc nagle przerażone oczy. — Weź pan to i włóż sobie na szyję, koniecznie, koniecznie.

Zdjęła z szyi szkaplerzyk niebieski, zawieszony na sznurku i śpiesznie wsunęła go do ręki porucznikowi. Szkaplerzyk jeszcze ciepły był od jej ciała.

— Pomaga?— spytał żartobliwie Romaszow.— Cóż to jest?

— A, to tajemnica. Nie waz się pan wysmiewać. Bezbożniku ty!

— Jednakowoż głośno o mnie. Milutkie dziewczę—pomyślał Romaszow, pożegnawszy dziewczynę.

Nie mógł się powstrzymać, aby nie pomyśleć o sobie i tym razem w trzecim przypadku: „Dobroduszny uśmiech przemknął po surowem obliczu starego rębacza.”

Tegoż dnia znowu został wezwany przed sąd, ale już razem z Nikołajewem. Obaj stali przy sobie prawie, nie patrząc jeden na drugiego. Wpatrywali się natomiast w przewodniczącego, gdy ten czytał im wyrok sądu:

„Sąd klubu oficerów N-skiego pułku piechoty, w takim to a w takim składzie—tu nastąpiło wylczenie rangi i nazwiska sędziego—pod przewodnictwem podpułkownika Migunowa, rozejrzawszy sprawę pomiędzy podporucznikiem Romaszowem, a porucznikiem Nikołajewem w lokalu klubu oficerskiego uznał, że względu na ciężkość obelg, że spór tych oficerów nie może zakończyć się pojednawczo, a pojedynek jest jedynym środkiem zadośćuczynienia czci i godności oficerskiej.

Tę opinię sądu zatwierdza komendant pułku”.

Skończywszy czytanie, podpułkownik zdjął okulary i schował je do futerału.

— Pozostaje wam, panowie — mówił z powagą — wybranie sekundantów, po dwóch z każdej strony i przysłanie ich koło 9-ej do klubu, gdzie wraz z nami opracują warunki pojedynku. Zresztą — dodał, wstając i chowając okulary do tylnej kieszeni munduru — tylko co przeczytane postanowienie sądu nie ma dla was obowiązującego znaczenia. Możecie postąpić jak zechcecie sami: albo stanąć do pojedynku, albo... wyjść, wystąpić ze służby. A teraz jesteście wolni obaj... Parę słów

jeszcze. Nie przemawiam w tej chwili jako przewodniczący sądu, lecz jako starszy towarzysz. Radzę wam, panowie, aż do czasu pojedynku nie pokazywać się w klubie. Mogłoby to bowiem doprowadzić do powikłań. Do widzenia.

Nikołajew szybkim krokiem wyszedł z sali. Za nim wolno opuścił klub Romaszow.

Nie czuł żadnego przerażenia, tylko objęła go dziwna samotność. Zdało mu się, że naraz odcięty został od świata. Wyszedł na werendę, patrzył ze spokojem na niebo, na drzewa, krowę uwiązaną, na wróble kąpiące się w piasku. — Wszystko żyje w koło, raduje się, a ja, ja jeden jestem osądzony. — Powlókł się odszukać Beka i Wietkina, by ich poprosić na sekundantów. Obaj zgodzili się. Bek ponuro, Wietkin serdecznie przystał. Nie chciało się Romaszowowi iść do domu — za wielka była tam pustka. W owe ciężkie chwile duchowej bezsilności, samotności, niepojmowania życia, potrzeba mu było jakiejś duszy, któraby go zrozumiała, duszy człowieka subtelniejszego, o miękkiem sercu, szlachetnego. Nagle przypomniał sobie Nazańskiego.

## XXI.

Nazański jak zwykle był domu. Tylko co przebudził się z ciężkiego, pijackiego snu i leżał na łóżku w białej, założywszy ręce pod głowę. W jego mętnych oczach widniała obojętność i znudzenie. Twarz nie zmieniła swego sennego wyrazu, gdy Romaszow pochylając się nad nim, rzekł trwożliwie i z wahaniem:

— Witajcie, Wasili Nilycz, nie przeszkadzam wam?

— Jak się macie — odrzekł Nazański, chrypliwym, słabym głosem. — Co słyhać nowego? Siadajcie.

Przywitał Romaszowa gorącą, wilgotną ręką, i wpatrywał się w niego, nie jakgdyby stał przed nim jego ulubiony kolega, lecz zwykle widziadło niedawnego, smutnego snu.

— Cierpiący jesteście — zapytał troskliwie Romaszow, siadając w nogach na łóżku. — W takim razie nie przeszkadzam. Pójdę.

Nazański uniósł się na poduszce i zmarszczywszy się z wysiłkiem spojrział na Romaszowa.

— Nie... poczekaj pan... Boli mnie głowa. Posłuchajcie, Jerzy Aleksiejewicz... co panu jest...

coś niezwykłego, poczekajże pan, nie mogę myśli zebrać. Co wam jest?

Romaszow spojrzal nań z politowaniem i zdziwił się, jak Nazański zmienił się na niekorzyść. Oczy mu zapadły i okrzyki cieniem, skronie po-  
zółkły, policzki ziemisto czarne obwisły i zarosły  
rzadkim, krętym włosem.

— Nie takiego, poprostu przyszedłem pana  
odwiedzić—rzekł niedbale Romaszow.—Jutro mam  
pojedynek z Nikolajewem. Wstręt czuję do życia.  
A zresztą, wszystko mi jedno. Do widzenia. Ja po-  
prostu... chciałem pomówić z panem... Ciężko mi na  
duszy.

Nazański zamknął oczy. Twarz jego wykrzy-  
wiła się boleśnie. Był znużony. Z siłą woli sku-  
pił myśli. Po chwili wyrzekł:

— Nie... czekajcie.—Nazański z trudem pod-  
niósł się na łokciu.—Dajcie mi, ot tam, z bufeciku...  
Kolego wy wiecie... Nie, jabłka, nie trzeba. Tam są  
miętowe pastylki. Dziękuję, mój drogi. Otóż wiesz  
co zrobimy... pfuj, jakież obrzydliwe!... Zawieź mnie  
gdzie na świeże powietrze, tu tak straszno. Miewam  
halucynacje. Przejedziemy się łódką i pogadamy.  
Dobrze?

Tymczasem, marszcząc się ze wstrętem, pił  
kieliszek za kieliszkiem i Romaszow widział jak  
twarz jego z ziemistej stała się różową i stopniowo  
nabierały życia i blasku niegdyś piękne, szafirowe  
oczy. Wyszli, wzięli dorożkę i pojechali na ko-  
niec miasta. Tu z jednej strony stał duży czerwony  
młyn żydowski, po drugiej łaźienki kąpielowe,  
i pełno łodzi do wynajęcia. Romaszow siadł u wio-  
seł, Nazański w pół leżąc nakrył się szynellem.  
Rzeka była szeroka, spokojna, jak wielki staw. Po  
obu stronach były groble duże i równe ciągnące  
się w górę rzeki. Trawa na nich była świeża, ja-  
sna i soczysta, tak, że brała ochota chwytać ją rę-

kami. Poniżej w wodzie białaly duże główki bia-  
łych lilii.

Romaszow ze szczegółami opowiedzial zajście  
z Nikolajewem. Nazański słuchal w zamyśleniu,  
spuściwszy w dół głowę patrzal na wodę, która le-  
niwemi falami przelewała się u dzioba łodzi.

— Powiedz prawdę, Romaszow, nie boisz się?—  
zapytał cicho Nazański.

— Pojedyнку? Nie, nie boję się—prędko od-  
powiedzial Romaszow. Naraz umilkł i wystawił  
sobie jak on stać będzie naprzeciw Nikolajewa i wi-  
dzieć będzie w jego rękę długą, czarną lufę pisto-  
letu.—Nie, nie—dodał Romaszow—nie będę się bał.  
Naturalnie, straszno. Ale nie stehórzę i o przeba-  
czenie prosić nie będę.

Nazański zanurzył rękę w ciepłą, ledwie szem-  
rzającą wodę i przemówił słabym głosem, poka-  
szlując:

— Ach drogi mój, drogi Romaszow, dlacze-  
góż chcesz to uczynić! Pomyśl tylko, jeśli wiesz,  
że nie stehórzysz, toż lepiej odmów pojedyнку.

— On mnie w twarz uderzył—zawołał poryw-  
czo Romaszow.

— No tak, uderzył — odparł łagodnie Na-  
zański i spojrzal smutnie na Romaszowa.—Ale czyż  
o to chodzi? Wszystko na świecie mija, minie  
i ból twój i nienawiść. Zapomnisz o tem. Ale  
o człowieku, którego zabijesz, nie zapomnisz nigdy.  
On będzie wszędzie, we śnie, przy stole, w samo-  
tności i w tłumie. Puste głowy, miedziane lby,  
różnobarwne papugi twierdzą tylko, że zabójstwo  
w pojedyнку, to nie zabójstwo. To są brednie. Ciż  
sami sentymentalnie wierzą, że rozbójnikom śni się  
krew i mózg ich ofiar. Nie, zabójstwo zawsze jest  
zabójstwem. I tu jest nie śmierć, nie ból, nie gwałt,  
nie wstręt do krwi i trupa, lecz to, że odbieracie  
człowiekowi radość życia. Wielką radość życia.—  
powtórzył Nazański głośno i łzawo.



— Przecież ani ty, ani ja chyba poprostu nikt, nie wierzy w pozagrobowe życie. Dlatego wszyscy boją się śmierci. My nie silni. Gdy zagłębimy się nad tem, co będzie po śmierci naszej, przedstawiamy sobie pustą, zimną, ciemną otchłań. Nie, kochanku, wszystko to kłamstwo, ciemny loch byłby jeszcze uludą szczęśliwą, radosną pociechą. Ale pomyśl całą okropność tej myśli, że zupełnie nie będzie, ani ciemności, ani pustki, ani chłodu... nawet myśli o tem nie będzie, nawet strach nie pozostanie! Chociażby strach tylko! Pomyśl!

Romaszow położył wiosła wzdłuż łódki. Czółno wolno posuwało się po spokojnej, czystej wodzie, było to widocznem tylko po wolnem odpływaniu zielonych brzegów wstecz...

— Tak... nie będzie nic—powtórzył Romaszow z zadumą.

— Spójrz, jak piękne jest życie!—zawołał Nazański.—O radości, o Boskie piękno życia, patrz na to niebo błękitne, słońce wieczorne, spokój wód i te przestworza, jakież to cudne, tklliwe, szczęśliwe! Nagle Nazański zapłakał, lecz natychmiast opanował się i począł mówić, nie wstydząc się łez i patrząc na Romaszowa szklanemi oczyma.

— Choćby mnie pociąg rozszarpał to i wtedy nawet powiedziałbym z zachwytem: „ach i jak piękne!” Ileż radości daje nam samo patrzeć. A miłość, muzyka, zapach kwiatów, bezgraniczna rozkosz, złote promienie słońca, błądy księżyc w cichą noc majową, myśl ludzka. Ach Jerzy, pomyśl!—Nazański wyciągnął doń drżącą rękę—przypuścimy nawet, że cię zamknęli w więzieniu na wieczne czasy i ty przez całe życie będziesz patrzył przez małą szelinkę na dwie zmurszałe cegielki... nie, przypuścimy, że w twojej celi nie będzie ani jednej szczeliny, iskierki światła, ani dźwięku, zgoła nic. A jednak, czyż i to porównać można z potworną okropnością śmierci. Pozostaje ci myśl, wyobraźnia, pamięć,

twórczość — a i z tem żyć można. I wtedy jeszcze możesz mieć momenty zachwytu i radości życia.

— Tak, życie jest cudne — rzekł Romaszow.

— Cudne! — z zapalem powtórzył Nazański. — I ot, dwóch ludzi, dlatego, że jeden drugiego uderzył, albo pocałował jego żonę, albo przechodząc podkręcał węża i nieprzyjaźnie spojrzal na niego, ci dwaj ludzie strzelają do siebie, zabijają jeden drugiego. Ich nie nie obchodzą cierpienia innych! A czyż *siebie* zabija ta nędzna poruszająca się bryła, zwana człowiekiem? On zabija słońce ciepłe, miłe słońce, jasne niebo, przyrodę, całe piękne życie, zabija najwyższą rozkosz i dumę—myśl ludzka!

Zabija to, co już nigdy, nigdy nie powróci. Ach głupecy, głupecy.

Nazański smutno pokiwał głową i westchnął głęboko. Czółno wsmęło się w sitowie. Romaszow pochwyił wiosła. Było tu ciemniej i chłodniej, niż na otwartej rzece.

— Cóż mam robić—ponuro i szorstko zapytał Romaszow. — Wyjść do rezerwy? Gdzie się podzieje?!

Nazański uśmiechnął się łagodnie i tklliwe.

— Poczekaj. Spójrz mi w oczy. Ot, tak, nie odwracaj się i odpowiedz mi sumiennie. Czyż ty wierysz w to, że służysz rozumnej, dobrej sprawie? Ja cię znam dobrze i rozumiem twoją duszę. Przecież ty w to nie wierysz!

— Nie—odrzekł Romaszow stanowczo. — Lecz dokąd pójdę?

— Zaczekaj—nie śpiesz się. Przyjrzyj się innym oficerom. O, nie mówię o gwardzistach, którzy balują, parują po francusku i żyją na utrzymaniu swoich rodziców lub żon ślubnych. Nie, pomyśl o nas nieszczęśliwych, o piechocie liniowej—o tem jądrze sławnego rosyjskiego wojska. Prze-

cież to wszystko leniuchy, oberwańcy, wyrzutki. Po większej części synowie rannych kapitanów. Przeważnie gimnaziści, realiści, nie zdolni kończyć karsów, seminarzyści. Dam ci przykład w naszym pułku. Kto u nas porządnie i długo służy? Biedacy obarczeni rodzinami, nędzarze gotowi na ustępstwa, na wszelkie okrucieństwa, nawet zabójstwo, kradzież groszy żołnierskich — a wszystko to dla łyżki strawy. Rozkazują mu strzelać, on strzela — do kogo? za co? może niepotrzebnie? — jemu wszystko jedno — on nie rozumie. On wie, że ma dzieci głodne i bezmyślnie, jak dzieciół, kuje jedno słowo „przysięga“. Kto więcej utalentowany, zdolny, ten zapija się. U nas przeważnie wszyscy dotknięci są syfilisem. Jeden szczęśliwszy dostaje się do akademii i temu towarzysze zazdroszą. Umiejący przypodobać się zostają żandarmami lub marzą o posadzie komisarza policji w dużym mieście. Szlachta i bogaci zostają ziemskimi naczelnikami. Przypuszczam — ale ci subtelniejsi, ludzie z sercem cóż ci robią? Dla nich służba — to wstręt, pęta, jarzmo. Każdy szuka czegoś, coby go całego pochłaniało. Jeden zajmuje się kolekcjonowaniem, drugi nie może doczekać się wieczoru, by sięść przy lampie, wziąć igłę i wyszywać krzyżykami na kanwie jaki mizerny dywanik, albo laubzegą wypilować ramkę do własnej fotografii. Podczas służby marzą o tem jak o tajemnej błogiej radości; o kartach, kobietach, sporcie już nie wspominam. A najbezpieczniejsza ambicya, nizka, okrutna ambicya, to Osadczy i jego kompania, wybijający oczy i zęby żołnierzom. Wiesz, że przy mnie Arszakowski tak bił swego deńszczyka, że ledwie go wyrwał z rąk jego. Krew obryzgała ściany i sufit. I na czem się to skończyło — wiesz na czem? Na tem, że deńszczyk poleciał na skargę do komendanta roty, ten odesłał go do feldfebla, a feldfelbel bił półgodziny po sienie, opuchłej, zakrwawionej twarzy. Tenże

jeszcze dwa razy podawał skargę — ale bez skutku.

Nazański umilkł i zaczął nerwowo rozcierać dłońmi skronie.

— Zaczekaj... Ach jak myśli biegają, jak to źle, że nie ty kierujesz myślą, lecz ona — tobą... Tak, tak teraz dalej, weźmy pozostałych oficerów. Na przykład sztabkapitan Pławski. Żywi się dyabli wiedzą czem, sam gotuje paskudztwa na benzynie, chodzi w lachmanach, lecz ze swej 48 rublowej pensyi odkłada co miesiąc 25 rb. Oho — ho ma już w banku przeszło 1800 rubli, pożyczka z lichwą kolegom. Myślicie, że robi to przez wrodzone skąpstwo? Nie, bynajmniej, to tylko sposób ucieczki kiedykolwiek, ukrycia się przed ciężką służbą wojskową. Kapitan Stelkowski, rozumny, silny śmiały człowiek. A co stanowi treść jego życia? Prowadzi na złą drogę niedoświadczone dziewczęta wiejskie. Weźmy nakoniec podpułkownika Brema. Miły, dobry dziwak, najlepsza dusza, doskonałość, i on cały pochłonięty troską o swój zwierzyniec. Co go obchodzi służba, parady, chorągwie, odznaczenia, uagany? Drobne to, niepotrzebne szczegóły.

— Brem zacy, lubię go — wtrącił Romaszow.

— Tak, tak, naturalnie, miły — słabo zgodził się Nazański. — A wiecie, co mi się zdarzyło widzieć na manewrach? Szedliśmy do ataku po no-nem pochodzie. Zdenerwowani, zmęczeni nieczuliśmy nóg tak oficerowie, jak żołnierze. Brem każe trąbić do ataku, a ten Bóg raczy wiedzieć dlaczego trąbi do apelu rezerwy. Raz, drugi i trzeci. I nagle tenże sam miły Brem przyskakuje konno do trębacza i wali go z całych sił po trąbie. Tak. Sam widziałem jak trębacz wraz z krwią, wypłul na ziemię pokruszone zęby.

— Ach, Boże mój — zawołał ze wstrętem Romaszow.

— Ot, tacy oni wszyscy, nawet najlepsi, najdelikatniejsi z nich! Ojcowie i mężowie doskonali,

wszyscy oni na służbie są nędznymi, złemi, tehörzliwymi, głupimi zwierzątkami. Zapytasz dlaczego? Dlatego, że nikt z nich nie wierzy w służbę wojсковą, i rozumnego celu służby tej nie widzi. Wiem przecież, jak dzieci lubią bawić się w wojnę. Był czas wrzącego dziecięctwa i byli w historii czasy bujnego, wesołego młodego pokolenia. Ludzie wtedy stanowili wolne szajki, wojna była ogólnem radośnym upojeniem, krwawą, dzielną uciechą. Na dowódcę wybierano najwaleczniejszego, najsilniejszego, najprzebieglejszego, i władza jego aż do chwili gdy zabijali go podwładni, uważaną była przez wszystkich jako władza boska. Ale oto ludzkość wyrosła, staje się coraz mądrzejszą, myśli ludzkości stają się coraz poważniejsze i głębsze. Nieustraszeni awanturnicy zmieniają się w szulerów. Żołnierz idzie do służby, jakby do jarzma. Nie, za kark go biorą, on opiera się, przeklina, płacze. Dowódcy z groźnych, pełnych oroku, obóstwianych atamanów, przekształcili się na urzędników, tehörzliwie żyjących ze swych marnych pensyi. Piękne bażanty utraciły pióra. Znam tylko jeden podobny przykład w dziejach ludzkości. To jest zakonnicstwo. Początek jego skromny, piękny, wzruszający. Kto wie, może ono było potrzebne dla świata. Ale przeszły stulecia i cóż widzimy? Setki tysięcy próżniaków, rozpustników, znieawidzonych nawet przez tych, którzy potrzebują duchowej pomocy. Nie, ja nie napróżno wspominam o mnichach, porównanie moje jest logiczne. Pomyśl ile tu wspólnego.

— Tam—habit i kadzidło, tu mundur i broń, tam pokora, obłudne westchnienia, słodkie słowa, tu—sztuczne meztwo, duma, poczucie godności, która ogląda się „a nuż mnie ktoś obrazi?”, wystawione piersi, wykręcone łokcie, podniesione ramiona. Jedni i drudzy żyją, jak pasożyty, wiedzą o tem, ale boją się przyznać do tego rozumem a głównie brzuchem.

Nazański ze złością, furknął nosem i zamilkł.

— Mów, mów jeszcze — prosił błagalnie Romaszow.

— Tak nadchodzi czas wielkich rozczerowań, przemiany wartości. Pamiętaj, mówiłem ci kiedyś, że istnieje od wieków genjusz ludzkości. Prawa jego są ścisłe, nieubłagane. Im mądrszą staje się ludzkość, tem silniej przejmują się niemi. Przyjdzie w końcu do równowagi. Jestem silnie przekonany, że nadejdzie czas, że nas, patentowanych elegantów i szykownych modnisiów, niepokonanych uwodzicieli, sztabs i oberoficerów, sromotnie bić będą po pyskach, w ciemnych zaułkach, w waterklozetach; kobiety i żołnierze przestaną nas słuchać. I nie będzie to zapłatą, że biliśmy do krwi ludzi bezbronych i za to, że nam w imię czci dla munduru uchodziło bezkarnie znieważanie kobiet, nie za to, żeśmy pijani bili po karczmach, nie za to że my dowódcy, darmozjady, hańbiliśmy oręż i że na nas własni żołnierze bagnietami wyganiaли z kukurydzy, ale za to, że byliśmy ślepi i głusi na wszystko. Dawno już zdala od nas, tworzy się nowe promienne życie. Zjawili się nowi dzielni ludzie; powstają nowe płomiennie myśli. Jak w ostatnim melodramacie walą się stare baszty i podziemia, a z za nich wynurza się blask ośniewający. A my, nadawszy się jak indory, tylko mrugamy oczami i dumnie gulgojemy „co? gdzie? milczeć! Bunt! Zastrzele.“ Tej to indycej pogardy dla wolności ducha ludzkiego nie przebaczą nam nigdy—po wieki wieków.

Łódka wypłynęła na cichą przestrzeń wody. W koło otoczyło ją zielone sitowie. Łódka zdawała się być odcięta od świata. Po nad nią unosiły się czajki, niekiedy skrzydłami dotykając Romaszowa, który czuł powiew ich silnego lotu. Zapewne gdzieś w bliskości miały gniazda.

Nazański leżał na wznak w dziobie czółna, i patrzył na niebo, zaróżowione obłoczkami.

Romaszow rzekł nieśmiało:

— Mów, jeżeli cię to nie męczy?

Nazański, jakby snuł wątek myśli mówił dalej.

— Tak, nastają nowe, cudne, wspaniałe, czasysy. Dużo przeżyłem, doświadczałem i widziałem. Od szkolnej ławki wpajano w nas: „kochaj bliźniego swego, jak siebie samego i wiedz, że potulność, posłuszeństwo i bojaźń, są pierwszemi zaletami człowieka.“ Uzcziwi, silniejsi, śmielsi, mówili nam „weźmiemy się za ręce, pójdziemy i zginiemy, ale przyszyliśmy pokoleniom zgotujemy lekkie i jasne życie“. Lecz ja tego nie rozumiałem. Kto mnie przekona? kto jest ten — niech go dyabli weźmą! — mój bliźni — może to hottentot, podły niewolnik lub niekczemny idyota? Och, ze wszystkich legend, nienawidzę sercem całym — legendy o świętym Julianie Miłosiernym. Zarazony powiada: „Drżę, połóż się obok mnie; zimno mi, połóż się na mnie i ogrzej ciałem swoim. Ziębłem, przybliż usta twe do mych ust cuchnących i wioń na mnie twem technieniem.“ Ach, nienawidzę zarazonych i nie kochem bliźnich. O, znam ja ten głupi szal o duszy wszechświatowej, o świętym obowiązku. Ale wtedy nawet gdy wierzyłem temu, nie odczuwałem jednocześnie. Cóż ty na to Jerzy?

Romaszow z zdziwieniem spojrzał na Nazańskiego.

— Ja cię rozumiem pod każdym względem. Gdy mnie nie będzie, zginie też świat cały. Wszak to mówisz.

— Właśnie to. Miłość dla ludzkości wytlili się i wyparowała z sere ludzkich. A na jej miejsce przychodzi nowa Boska wiara. Wiarą tą — miłość ku sobie, ukochanie swego pięknego ciała, swego wszechpotężnego umysłu i bezgranicznego bogactwa swych uczuć. Bo któż może ci być droż-

szym niż ty sam sobie? Nikt. Ty jesteś panem świata, dumą i ozdobą — ty, Bóg stworzenia. Wszystko co widzisz, słyszysz, czujesz, należy do ciebie. — Rób co chcesz. Bierz wszystko co ci się podoba. Nie bój się nikogo na całym wszechświecie, bo tobie nikt nie dorówna. Da Bóg, że nadejdzie jeszcze ta chwila zesłana przez języki płomienne Świętego Ducha, uświęci głowy wszystkim i wtedy nie będzie już ani niewolników, ani kalek, ani panów ani litości, ani błędów ani złości lub nienawiści. Wtedy ludzie staną się bogami. I pomyśl, jakżeby w tedy ośmielił się uderzyć człowieka równego sobie, w którym czuję jasnego Boga. Wtedy życie będzie cudowne. Na całej kuli ziemskiej wznosić się będą jasne budowle, nie gminnego, prostego razić nas nie będzie, życie stanie się słodką pracą, swobodną pracą, dziwną muzyką, wesolem świętowaniem. Miłość stanie się religią świata, a nie tajemnym grzechem. Ciała nasze będą czyste, silne, piękne, przybrane w jasne szaty. Jak wierzę w to wieczorne niebo — zawołał Nazański, podnosząc uroczyście rękę — tak wierzę w to boskie życie.

Romaszow wzruszony, wzbudzony, szeptał wybladłymi ustami:

— Nazański, to marzenia, fantazyje.

Nazański uśmiechnął się cicho, poblażliwie.

— Tak, pierwszy lepszy profesor dogmatycznej teologii lub klasycznej filologii powie to samo: „A toć przecie objaw skrajnego indywidualizmu!“ Tu chodzi o to tylko mój chłopczyku, że nie, nie praktyczniejszego nad te fantazyje, o których marzy tak niewielu. Zapomnijmy żeśmy — wojskowi. My — szpaki. Oto na ulicy stoi potwór, wesoly, dwugłowy potwór. Ktokolwiek obok niego przejdzie on jego zaraz w mordę. On nie uderzył mnie jeszcze, ale na myśl o tem, że może mnie uderzyć, ubliżyć ukochanej przezemnie kobiecie, pozbawić mnie samowolnie swobody, na tę myśl truchleję. Sam nie

mogę go pokonać. Ale przy mnie stoi równie śmiały człowiek jak i ja, mówię mu: „Chodźmy, we dwóch uczynmy to, żeby on nie mógł uderzyć ani mnie ani ciebie.” I idziemy. Lichy to przykład, ale ja w dwugłowym potworze, widzę to, co pęta mego ducha, gwałci moją wolę, poniża mój szacunek dla siebie. I wtedy nie cielejące współczucie dla bliźnich, lecz boska miłość ku sobie, jednoczy usiłowania moje i drugich, równych mi duchem ludzi.

Umilknął. Był wyczerpany. Po chwili ciągnął dalej słabym, cichym głosem.

To tak, mój Jerzy. Mimo nas płynie zawikłane, kipiące życie, rodzą się boskie, płomienne myśli, wałą pozłacane bożyszcza. A my stoimy przy swoich złobach, podparszy się pod boki pięściami i rżymy: „ach wy idyoci, Szpaki! Bi-i-ić was!” „A tego życie nie przebaczy nigdy.” — Podniósł się — skurczył pod szynelem i rzekł znużony:

— Chłodno... wracajmy do domu.

Romaszow wywiosłował z gęstwiny. Słońce kładło swe promienie na dachy miasta, które nadzwyczajnie odbijały od paśa zachodniej zorzy. Gdzieś niedzie żywym, ognistym blaskiem odbijało się światło na szybach. Woda od strony zorzy wieczornej stała się różową, wesołą, gładką, po za czółnem ciemniała, falowała.

— Masz rację — rzekł Romaszow — przejdę do rezerwy. Niewiem jeszcze jak postąpię w tym wypadku, ale oddawna mam to na myśli.

Nazański, owinięty w płaszcz drżał z zimna.

— Idź, dobrze zrobisz — odparł z łagodnym smutkiem.

— W tobie coś jest — jakaś światłość wewnętrzna... nie wiem, nie wiem jak to nazwać. Ale w legowisku naszym poprostu pluja na nią i gaszą ją. A główna rzecz — nieobawiaj się życia — ono zajmujące, wesołe cudne, to życie! Choćby ci się nawet nie udało ono, czyniąc z ciebie włóczęgę. Prze-

cież widzę to, że każdy włóczęga prowadzi dzie sięć tysięcy razy pełniejsze, bardziej interesujące życie niż Adam Iwanowicz Zegrzd, albo kapitan Sliwa. Chodzi po świecie zaznajamia się z mnóstwem dziwnych, śmiesznych, obojętnych ludzi, patrzy, wacha, słucha, śpi na wilgotnej trawie, marznie na mrozie, nie go nie wiąże, nikogo się nie boi, ubóstwia życie całą swą duszą... Ach, jak ci ludzie mało jeszcze pojmują! Czy nie wszystko jedno jeść bób, czy comber sarni z trufkami, upić się wódką lub szampanem. Umrzeć pod baldachimem czy w cyrkule policyjnym. — Wszystko to przyzwyczajenia. One tylko zmniejszają wartość największej treści życia. Gdy patrzę na wspaniałą pogrzeb, to widzę wspaniałą srebrną skrzynię pod pióropuszaniami, a wniej spoczywającą małpę i inne żywe małpy idące za nią śladem, z mordami naprzód, ponawieszanemi śmiesznymi gwiazdami... Nie, mój drogi przyjacielu, nie nie zastąpi wolnego ducha, myśli twórczej i radosnego pragnienia życia. Trufle mogą wcale nie istnieć, to kapryśna i bardzo różna gra wypadku. Konduktor kolejowy, jeśli nie jest idyotą, to przez rok nauczy się panować z godnością. Ale nigdy upasiona, nadęta i głupia małpa, siedząca w karecie za szklami, nie pojmie ducha wolności, nie odczuje radości natchnienia, nie zapłacze łzami zachwyty, patrząc jak srebro kosmate pączki gałązkę wierzbiny. — Nazański zakaszlał i kaślał długo, wreszcie, plunawszy w wodę, mówił dalej:

— Uciekaj Jerzy, póki czas. Radzę ci, zmarnujesz się tak, jak i ja. Zanurz się śmiało w fale życia, ono cię nie oszuka. Życie to jak ta wielka budowla o tysiącach komnat, w których jest światło, śpiew, muzyka, malarstwo, wytworni ludzie, śmiech, tańce, miłość, wszystko co jest groźne i wielkie w sztuce. A ty w tym pałacu widziałeś dotąd,

ciasną, ciemną komórkę, pełną śmieci, pajęczyn i obawiasz się wyjść z niej.

Przybili do przystani. Romaszow pomógł Nazańskiemu wyjść z czółna.—Sciemniało się kiedy stanęli w domu. Nazański położył się do łóżka, nakrył kołdrą i szynelem. Drżał z zimna tak mocno, że zęby mu szczekały. Kurcząc się i tuląc głowę do poduszki mówił litosnym, skarżącym się głosem dziecka.

— O, jak ja boję się swego pokoju... Co za sny, co za sny!

— Chcesz, zanocuję u ciebie?—zaproponował Romaszow.

— Nie, nie, nietrzeba. Poślij mi po brom i... po trochę wódki. Ja nie mam pieniędzy...

Romaszow posiedział u niego do jedenastej. Nazański uspokoił się. Nagle otworzył oczy i rzekł stanowczo:

— Teraz już idź, żegnaj mi.

— Żegnaj mi—rzekł smutno Romaszow. Chciał powiedzieć: „żegnaj mistrzu,“ ale wstydział się frazesu i tylko dodał żartobliwie:

— Dlaczego żegnaj? Czemu nie dowidzenia?

Nazański roześmiał się strasznym, niespodziewanym, bezmyślnym śmiechem.

— Czemu nie dowidzenia!—powtórzył dzikim głosem waryata. I Romaszow poczuł przenikający całą istotę jego dreszcz przerażenia i lęku.

## XXII.

Podchodząc do swego domu, Romaszow z podziwem dostrzegł, że w małym okienku jego pokoju w północy letniej ciepłej nocy drgało ledwo widzialne światelko. „Co to znaczy“—pomyślał z przestachem i przyspieszył kroku.—„Może to moi sekundanci oczekują mnie, wróciwszy z warunkami pojedynku.“ W przedpokoju natknął się na Hajnanan, nie zauważył go, drgnął, krzyknawszy.

— Do dyabła! Tyżeś to Hajnan? Któż tutaj?

Mimo ciemności rozeznał czeremisa, depeczęcego na jednym miejscu.

— Przyszła pani, wasza cześć, siedzi i czeka.

Romaszow otworzył drzwi. W lampie nie było nafty. Dogorywała, trzeszcząc. Ledwo słaby płomyczek dobywał się ostatkiem sił. Na łóżku siedziała postać kobieca, mało odcinająca się od półmroku coraz to bardziej przechodzącego w ciemności.

— Oleńka!—zatomowanym oddechem zawołał Romaszow, podchodząc niewiedomo dlaczego na palcach do łóżka.

— Oleńka, to ty?

— Cicho. Siadaj—odpowiedziała szybko i cicho.—Zgaś lampę.

Dmuchiął w głąb szkła—dogorywający ognik

zamarł. Odrazu pokój ogarnęła ciemność i cisza. Tylko budnik, niedostrzeżony dotąd, zaczął przez chwilę hałaśliwie dzwonić. Romaszow usiadł zgarbiony obok Aleksandry, nie patrząc wcale na nią. Pomieszane uczucia lęku, niepokoju i jakby konania serca oładnęły nim, przeszkadzając mówić.

— Kto mieszka obok was za ścianą—spytała Aleksandra.—Tam pewno słychać wszystko?

— Nie, pokój pusty... stare meble... właściel stolarz... można mówić głośno.

Pomimo to mówili po cichu. A w tych słowach obojga, rozdrzanych w ciemni, było coś tajemnego, przyczajonego, coś lekliwego. Siedzieli prawie przytuleni do siebie. Od szybkiego krążenia krwi, podporucznik czuł szum w uszach.

— Po coś, po coś to zrobił? — nagle rzekła ona cicho, z dziwnym wyrzutem. Położyła na jego kolanie swoją rękę. Romaszow przez ubranie wyczuł nerwowy ciepłik jej dłoni i, głęboko westchnąwszy, zamknął oczy, przed którymi ukazały się dwa czarne teraz piętna, otoczone błękitną świetlnią.

— Błagałam cię, abys się powstrzymał wobec niego. Nie myśl, abym wyrzuty czyniła. Nie szukałeś kłótni umyślnie—wiem o tem. Ale czy wtedy, gdy zbudził się w tobie dziki zwierz, nie mogłeś bodaj na jedną sekundę mnie sobie przypomnieć i dać pokój? Nie kochałeś mnie!

— Kocham — cicho rzekł Romaszow, drżącą ręką dotykając jej dłoni. Aleksandra rękę cofnęła, lecz nie odrazu i nie raptem a lekko, jakby nie chcąc tem obrazić podporucznika.

— Tak, wiem, ani ty, ani on nie wspomnieliście mego imienia. A cóż z waszej rycerskości? Tak czy inaczej plotka toczy się po całym mieście.

— Wybacz, nie panowałem nad sobą... Oślepiła mnie zazdrość—z trudnością mówił Romaszow.

— Zazdrość? Myślisz, że mąż po bójce z to-

bą był na tyle delikatnym, że nie powiedział mi żąd wróciłeś, gdzie byłeś przedtem, nim wróciliście do klubu? Mówił mi i o Nazańskina.

— Wybacz... ja tam nie popełniłem żadnej nieczemności. Wybacz...—Ona zaczęła nagle mówić stanowczym głosem:

— Słuchaj, Jerzy. Każda minuta jest mi droga. Czekam tu przeszło godzinę. Dlatego musimy pomówić krótko i węzłowato. Wiesz kim jest dla mnie mąż mój. Nie kocham go—ale... Jestem większą egoistką, niż on. Składając egzamin ściał się dwa razy. Więcej tem bylam rozgoryczona, niż on. Otóż z całych sił moich starałam się, aby tym razem nie padł. Uczylałam się, kułam z nim razem, pobudzałam jego ambicję, dodawałam otuchy, kiedy upadał na duchu. Nie mogę dać za wygraną—on musi wstąpić do akademii.

Romaszow siedział z opuszczoną na rękę głową. Wyczuł, jak Aleksandra pogładziła go po włosach. Zapytał, nie pojmując nic.

— Cóż ja mogę zrobić?

Objęła go za szyję i miękko skłoniła jego głowę na swoją pierś. Była bez gorsetu. Romaszow wyczuł obliczem wydatną krągłość jej ciała, wyczuł jego zapach, drżący rozkoszą, oddech namiętny, poryweczy...

— Pamiętasz... tam... wtędy, na pikniku, powiedziałam ci całą prawdę—nie kocham go. Lecz pomyśl trzy lata uporczywej pracy, planów i marzeń.—Wiesz, że nienawidzę tego otoczenia, w którym się teraz znajduję. Chcę być piękną, cudownie ubraną, wytworną, chcę błyszczeć i królować raptem awantura w klubie, bezsensowna biatyka oficerów, miało to być końcem wszystkiego—tych moich snów? Majają się obrócić w niwecz? Nie bylam nigdy matką, lecz wyobrażam sobie: rośnie moje dziecko—mój skarb, moje nadzieje, bez-

senne noce i nagłe głupstwo—niańka nie dopatryła, dziecko przez okno wypadło na bruk... Drogi mój, tylko z taką rozpaczą może być porównana moja, gdyby on... Nie mam żalu do ciebie...

Podporucznikowi nie było wygodnie siedzieć pochyłonym, a potem nie chciał być dla Aleksandry ciężarem, ale miał jednocześnie pragnienie całej długie dnię pozostawać w takiej pozycyi, słuchając bicia maleńkiego serca ukochanej.

— Słuchasz mnie?—spytała pochylając się ku niemu.

— Tak, tak—mów... Co tylko będę mógł uczynić dla ciebie.

— Słuchaj więc do końca. Jeżeli go zabijesz, albo odsuną go od egzaminu, wówczas skończone wszystko. Tego samego dnia, kiedy się o wszystkim dowiem wyjadę do Odessy, Petersburga, Moskwy, wyjadę szukać tam kariery. Nie jestem bardzo piękna, ale, wiem, jestem interesująca — otóż wyjadę. Nie posądzaj mnie, że chcę cię nastraszyć efektywnym frazesem z jakiegoś romansu—nie. Ale jestem gotowa—nawet na hańbę, hańbić byle choć na krótko zabłysnąć, choć na krótko!

Romaszow patrzył w okno. Jego oczy, przywykły do ciemności, rozróżniały ramę.

— Nie mów tak—to bolesne dla mnie — powiedział smutno. Chcesz, mogę się nie pojedynkować, a przeprosić. Zrobić to?

Nastąpiło milczenie. Tylko budzik monotonicznie szedł, szedł... Wreszcie ledwo dosłyszalnie Aleksandra szepnęła:

— Wiedziałam, że to zaproponujesz.

Podniósł głowę i choć go ona trzymała za szyję, wyprostował się.

— Nie boję się—zawołał głośno, ale tępo.

— Ach nie, nie—nie zrozumiałeś mnie — rzekła błagalnym szeptem. — Przytul się do mnie znów, przytul...

Objęła go ponownie za szyję, poczynając mówić gorączkowo:

— Nie zrozumiałeś mnie. O czem innym myślałam—ale wstyd mi... Tyś taki czysty, dobry, dlatego ja... Och jakież ja nieszczęśliwa, jaka wyrachowana...

— Cyt, Oleńka... mów, mów wszystko. Kocham cię, kocham...

— A więc—zaczęła, gdy on raczej odgadywał niż słuchał—a więc, jeśli odmówisz, jakąż hańbą spadnie na ciebie! I znów nie to co chciałam—zatem jasno, jasno ci powiem. Obmyśliłam wszystko naprzód—tak... Dajmy na to odmówisz, pojedynek nie dojdzie do skutku—przeprosiny i pozostanie z niemi coś podejrzanego, coś wzbudzającego niewiarę i rozczarowanie... Pojmujesz ty mnie?—Powiedziała ze smutkiem i łagodnie pocałowała go w głowę.

— Tak. Więc cóż?

— Ach, wtedy nie pozwolą mu składać egzaminu. Oficer generalnego sztabu musi być bez cienia jakiegokolwiek podejrzenia. Pojedynek ma w sobie coś heroicznego, coś silnego, może tylko pomódz. Po spotkaniu możesz przeprosić go, ale to już twoja rzecz.

Objawszy się mocno, gorączkowo szeptała oboje jak kochankowie, dotykając się licami i rękami, wyczuwając wzajemnie tętnienia. Ale Romaszow doznał wrażenia, jakby pomiędzy niemi przepłynęło coś chłodnego, ślizkiego, jakby wkraśli się coś nieszczęśliwego. Chciał wyswobodzić się z jej uścisku, lecz ona go nie wypuściła. Chęć ukryć niepojęte rozdrażnienie, rzekł sucho:

— Na Boga, powiedz jasno, czego, czego, chcesz!

Wtedy ona, całując go, niejako rozkazującym tonem powiedziała:

— Strzelać się musicie, ale żaden z was nie



będzie ranionym. O, najdroższy, zrozum mnie i nie sądz źle! Sama tchórzów nienawidzę—lecz dla mnie, Jerzy, dla mnie to zrobisz! Mąż wie o wszystkim.

Udało mu się wyrwać z jej objęcia. Wstał z łóżka i rzekł:

— Dobrze. Niech i tak będzie. Zgadnam się.

I ona wstała teraz. W ciemności, z jej ruchów, nie widząc, odgadł raczej, że szybko poprawia włosy.

— Odchodzisz?—zapytał Romaszow.

— Żegnaj—powiedziała znużonym głosem.— Pocałuj mnie raz ostatni.

Serce Romaszowowi drgnęło z żalu wielkiego i wielkiej miłości.

W ciemni odnalazł jej głowę i zaczął namiętnie całować usta i oczy. Twarzyczka Aleksandry była wilgotna od łez.

To poruszyło Romaszowa.

— Najdroższa... nie płacz... Ola... skarbie — szeptał smutno.

Nagle zarzuciła mu ręce na szyję ruchem namiętnym, gwałtownym i całym ciałem przywarła się do niego i pokrywała pocałunkami żądy...

Drżała, szepeąc porywezo, szaleńczo:

— Nie, nie—nie mogę się tak rozstać z tobą. Nie zobaczymy się więcej, nie mamy więc czego się obawiać... Chcę więc... chcę — szeptała namiętnie—Jeden raz... weźmy nasze szczęście, naszą rozkosz... Chodź do mnie, w moje objęcia...

Szałem wypełniło się wszystko w koło nich, czemś szatańskim rozkołowało i niebo i pokój — cały świat. Przez jedną sekundę Romaszow, jasno widział blisko swej twarzy oczy Aleksandry, błyszczące obłądnym szczęściem i z całą żądzą [rwącej się ku niej duszy, z całą żądzą krwi swojej młodej, porwał ją w swoje objęcia, namiętnie wpijając usta swe w jej drżące wargi...

— Czy mogę cię odprowadzić — spytał, wyzedszy z nią razem za bramę.

— Ach nie, na Boga—po co! Nie rób tego. Nie wiem i tak ile czasu spędziłam u ciebie. Nie nasz zegarka? Która godzina?

— Nie, nie mam—nie wiem...

Przedłużała rozstanie, opierając się o drzwi.

Powietrze przepajał żar nocy letniej. Było ciemno, ale Romaszow dojrzał, że twarz Aleksandry błyszczy, jak wtedy na pikniku, niby oblicze figury marmurowej.

— Żegnaj — powiedziała nareszcie znużonym głosem.—Żegnaj.

Pocałowali się. Usta jej były zimne, nieruhome. Szybko odeszła i wnet pochłonęła ją ciemność.

Romaszow stał dotąd, póki dobiegał go lekki eńród Aleksandry, potem wrócił do pokoju.

Objęło go silne, rozkoszne znużenie. Ledwo mógł się rozebrać taki był senny. Ostatnim wrażeniem przed snem była lekka, słodka woń ciała Aleksandry, jej włosów, perfum—woń przedchwilowej rozkoszy, która nie ulotniła się jeszcze.

może. Z tego powodu sekundanci podporucznika zdecydowali, że pojedynek jest ukończony, do czego przychylił się wszyscy. Przy przenoszeniu do powozu podporucznik Romaszow zemdlął, a po siedmiu minutach skonał z upływu krwi. Sekundantami ze strony p. Nikolajewa byli: ja i porucznik Wasin, ze strony p. Romaszowa pp. Bek-Agamałow i Wietkin. Przewodnictwo nad pojedyńkiem na żądanie ogólne, było złożone w moje ręce. Dowody młodszego doktora pułku koll. ass. Znajki przy niniejszem dołączam.

Sztabs-kapitan Ditz.

## XII.

Dn. 2 czerwca 18\*\*

Do

Jaśnie Wielmożnego

Komendanta N—skiego pułku piechoty

Sztabs-kapitana tegoż pułku Ditz

R a p o r t.

Niniejszem mam honor donieść JW Panu Komendantowi, że 2 czerwca, podług warunków, przedstawionych JW Panu wczoraj, to jest 1 czerwca, odbył się pojedynek między porucznikiem Nikolajewem a podporucznikiem Romaszowem. Przeciwnicy spotkali się pięć minut przed szóstą rano w lesie, przewanym „Dubeczną”, znajdującym się o 3<sup>1</sup>/<sub>2</sub> wiorsty od miasta. Przeciąg pojedynku wliczając czas sygnałów, był—minuta i dziesięć sekund. Miejsca przeciwnicy obrali za pomocą losów. Po komendzie „naprzód” obaj przeciwnicy postąpili ku sobie, przyczem wystrzałem porucznik Nikolajew ranił podporucznika Romaszowa wyżej brzucha, wczekując strzału od przeciwnika. Po pół minucie czasu postanowionego na strzał następny, okazało się, że podporucznik Romaszow odpowiedzieć nie

KONIEC.



## WYCIĄG Z KATALOGU „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH”.

Do nabycia w Administracji „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH” (Warszawa, Warecka Nr 14), w Filii Kantoru „GAZETY POLSKIEJ” (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście Nr 1) i we wszystkich księgarniach.

### WYSZŁY Z DRUKU:

**Rok 1905.**

Tom.		CENA	
		w opr. brosz. kop.	kop.
357.	Guy de Maupassant. NA WODZIE. Przekład Ireny Łopuszańskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego	40	25
358.	Emil Tardieu. ZNUDZENIE. Studium psychologiczne w przekładzie z francuskiego i z przedmową Maryana Massoniusa	1.35	1.20
359.	M. A. Szimaczek. OBRAZKI Z ŻYCIA. Z czeskiego przetłumaczyła J. Kietlińska-Rudzka	40	25
360, 361.	Deotyma. POLSKA W PIEŚNI. SOBIESKI POD WIEDNIEM	80	50

Tom.		CENA	
		w opr. brosz. kop.	kop.
362, 363, 364.	Gabryela Zapolska. SEZONOWA MIŁOŚĆ. Powieść współczesna. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	1.80	1.50
365.	Helena Keller. HISTORIA MEGO ŻYCIA. (Autobiografia głuchoniemej). Tłumaczyła M. Pankiewiczówna	4	25
366, 367.	G. Flaubert. SALAMBO. Powieść z przedmową W. Jabłonowskiego	80	50
368, 369.	T. Jąroszyński. CHIMERA. Z przedmową Z. Dębickiego	80	50
370.	H. Lichtenberger. FR. NIETZSHE I JEGO FILOZOFIA. Tł. l. Marcinkowskiej z przedmową Wł. Jabłonowskiego	40	25
371, 372, 373.	M. Rodziewiczówna. KLEJNOT. Z przedmową H. Gallego	1.20	75
374.	W. Marrene Morzkowska. CYGANERYA WARSZAWSKA, z przedmową H. Gallego	1.20	75
375, 376.	Kenijro Tokutomi. NAMI-KO. Z japońskiego tłumaczyli Sakae Shioya i E. F. Edgett. Z angielskiego przełożyła Emilia Węśławska	80	60
377.	Cr. Th. Zell. CZY ZWIERZE NIE MA ROZSADKU? Spolszczone przez M. S.	40	25
388, 379, 380, 381.	Teodor Jeske-Choiński. GASNACE SŁOŃCE. Powieść z czasów Marka Aureliusza	2.60	2.00
382.	Booker T. Washington. AUTOBIOGRAFIA MURZYNA. Przekład M. G.	40	25
383, 384, 385, 386.	Z. Kaczkowski. ROZBITEK. Powieść z przedm. Wł. Jabłonowskiego	80	50
387, 388.	F. de Roberto. ZŁUDZENIA. Przekład z włoskiego oryginału, przez W. E. Z przedmową Wł. Jabłonowskiego	80	59
389, 390.	Alexander Kraushar. DWA SZKICE HISTORYCZNE z czasów Stanisława Augusta	80	50
391, 392.	M. Rodziewiczówna. JERYCHONKA. Powieść	80	50
393.	K. Wagner. PROSTOTA W ŻYCIU	40	25

Tom.	CENA w opr. brosz.	
	kop.	kop.
394. <b>Vincente Ibanez. RUDERA.</b> Powieść, przełożyła z hiszpańskiego Alina Swiderska	40	25
395. <b>William Blake-Odgers. ANGIELSKI SAMORZĄD MIEJSCOWY.</b> Spolszczył Wojciech Szukiewicz	40	25
396. <b>W. Gomulicki. BRYLANTOWA STRZAŁA</b> i inne nowele	40	25
397, 308. <b>Piotr Loti. INDYE.</b> W przekładzie Józefa Jankowskiego	80	50
399, 400. <b>H. Taine. ŻYWOT I MYŚLI</b> p. F. T. GRAINDORGE. Przełożyli z francuskiego A. K. M., z przedmową Wł. Jabłonowskiego	80	50
401, 402. <b>M. Redziewiczówna. NA FALLI,</b> powieść	80	50
403. <b>Roman Pleniewicz. MIKOŁAJA REYA Z NAGŁOWIC ETYKA. 1505—1905</b>	40	25
404, 405. <b>M. Czerny. ODŁOGIEM</b>	80	50
406, 407, 408. <b>Selma Lagerlöf. GÖSTA BERLING</b> ze szwedzkiego przełożyła Józefa Klemensiewiczowa	120	75
409, 410, 411; 412. <b>Bennet Burleigh.</b> Korespondent wojenny „London Daily Telegraph”. <b>PAŃSTWO WSCHODU CZYLI WOJNA JAPONSKOROSYJSKA 1904—1905.</b> Przekład Emilii Węslawskiej	160	100
413. <b>Gen. Roman Sołtyk. KAMPANIA 1809 r.</b> (Wyczerpane).	30	25

### Rok 1906.

414, 415. <b>Berta bar. Sutner. DZIECI MARTY,</b> z przedmową Z. Dębickiego. Powieść	80	50
416. <b>General kwatremistrz de Pistor. PAMIĘTNIKI O REWOLUCYI POLSKIEJ</b> z roku 1794	40	25

Tom.	CENA w opr. brosz.	
	kop.	kop.
417, 418, 419. <b>Sir Edward Buiwer Lytton. ZANONI.</b> Powieść z czasów rewolucyi francuskiej. Przekład M. Komornickiej	120	75
420, 421. <b>Juljusz Falkowski. KSIĘSTWO WARSZAWSKIE.</b> Obrazy z życia kilku ostatnich pokoleń, 2 tomy	80	50
422. <b>W. Doroszewicz. RODZINA I SZKOŁA,</b> z rosyjskiego przełożył Józef Maciejowski	40	25
423, 424, 425. <b>DRUGI ROZBIÓR POLSKI.</b> Z pamiętników Sieversa	80	50
426, 427. <b>OPOWIADANIA CZECHOWA</b> tłóm. T. K.	80	50
428. <b>LARIK. J. Gadomski</b>	40	50
429. <b>WŁÓCZĘGA W TRÓJKE.</b> Jerome Jerome, przeł. z ang. K. Paprocki	40	25
430, 431, 432. <b>Z. Morawska. ZMIERZCH I ŚWIT.</b> Powieść z czasów Stanisława Augusta	1.20	75
433. <b>Ludwik Proal. ZBRODNIE POLITYCZNE.</b> Przekł. Maryi Wentzlowej	40	25
434. <b>Maurycy Barres. POD PIKIELHAUBA.</b> Przekł. z francuskiego M. Rakowskiej	40	25
435. <b>NEWROZA REWOLUCYJNA,</b> według D-rów Cabanes i L. Nassa, opracowała K. Płońska	30	35
<b>Antoni Gawliński. SEN ŻYCIA.</b> Opowiadanie	40	25
437. <b>Kazimierz Bartoszewicz. KONSTITUCYA 3 MAJA.</b> (Kronika dni kwietniowych i majowych w Warszawie w r. 1791)	30	25
438, 439, 441, 442, 444, 445, 448. <b>Prof. Mikołaj Berg. ZAPISKI O POLSKICH SPISKACH I POWSTANIACH.</b> Przekład z rosyjskiego	2.40	1.60
440. <b>Teodor Jeske-Choiński. MAŁŻENSTWO JAKICH WIELE.</b> Studium powieściowe	40	25
443. <b>J. Scher. Z KRWAWYCH DNI.</b> (Komuna paryska). Przełożył z niemieckiego Z. K.	40	25

Tom.	Cena w op. kop.
446, 447. Ryszard Voss. WILLA FALCONIERI Przekład M. Łaganowskiej	80
449, 457. A. Kuprin. POJEDYNEK. Powieść z rosyjskiego, przekł. J. Maciejowskiego	80
450. Paweł Doumer. KSIAŻKA MOICH SYNÓW, przekł. E. Węslawskiej	40
451. Conan Doyle. CZERWONYM SZLAKIEM. Powieść, z angielskiego, tłóm. Br. Neufeldówna	40
452, 453, 454. PAMIĘTNIK ANEGDOTYCZNY z czasów Stanisława Augusta	1.20
455, 456. Jerzy Rodenbach. DZWONNIK. Przełożył z francuskiego Zygmunt Szuster. Z przedmową Zdzisława Dębickiego	80

